

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

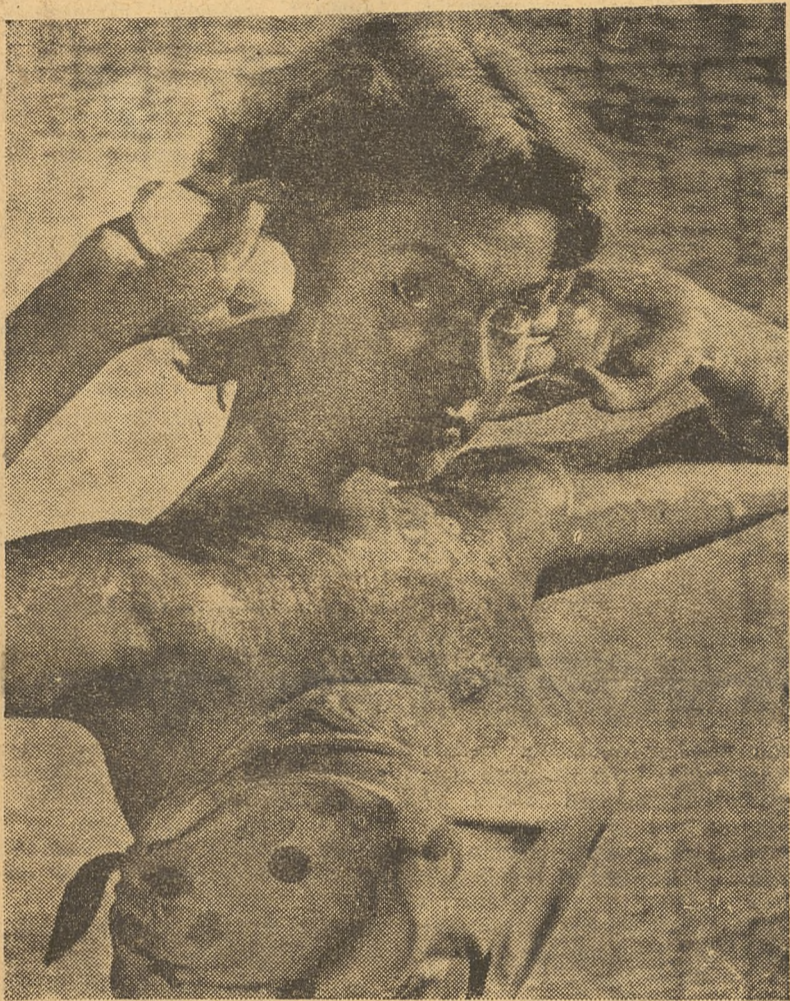
KRAKÓW

1. XII. 1957 r.

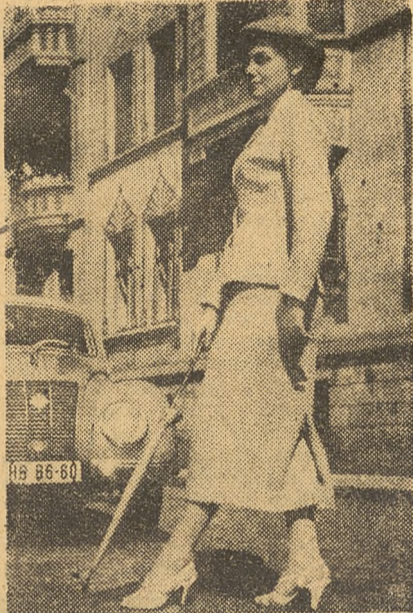
Nr 30

CENA ZŁ 1.50

**OBLICZONO, ŻE KOBIETA
ŻYJĄCA 70 LAT
TAK OTO GOSPODARUJE
SWOIM CZASEM**



JEDZENIE 5 LAT



CZEKANIE 3 LATA



ZABAWA 16 LAT



PRACA 20 LAT



SPANIE 20 LAT

**UPIĘKSZANIE 6 LAT
JAK GOSPODARUJEMY
SWOIM CZASEM?**

Ze wszystkich przeprowadzonych rozmów, jedno wynika beźspornie: większość ludzi groos swego czasu przeznaczają na pracę. Na porządku dziennym jest praca dodatkowa, praca zabierająca godziny popołudniowe, zmniejszająca wypoczynek i rozrywki. To w pewnym stopniu daje skażoną statystykę, to w pewnym stopniu dezorganizuje gospodarke czasem u każdego z nas. Chodzi więc teraz o to aby posiadany czasem jak najlepiej rozporządzać, aby z tych skromnych wycinków wykroić na teatr, kino czy życie najzupełniej prywatne, nie dające się uchwycić w jakieś schematy statystyczne. Czy to się udaje? Najlepiej będzie, jeśli przytoczymy odpowiedzi na pytanie: jak gospodarujemy swoim czasem.

JAN KUTRZEBSKI — adwokat

Należałoby raczej postawić pytanie: jak sąd gospodaruje moim czasem. Aby nie być gołosłownym. Mam 3—4 drobne rozprawy w ciągu dnia. Efektywnie zabierają mi one 2—3 godziny, czasami trochę więcej, ale nie wiele. W sądzie natomiast jestem około 6 godzin. A więc czekanie, spacerowanie po korytarzach sądowych, rozmowy z klientami, nie zawsze konieczne, np i wyskoczenie naprzeciw na kawę. Gdybyśmy teraz zebrali te godziny czekania, to byśmy otrzymali cyfry, o których nawet nie chcę mówić. Tym bardziej, że adwokatem nie przestaję być nawet po wyjściu z sądu, czy zespołu. Ludzie potrafią pytać o pewne problemy prawnicze nawet w czasie jak najbardziej prywatnej rozmowy. A dla siebie? Teatr, kino i brydż. Ten

ANKIETA

ostatni przeciętnie trzy razy tygodniowo. Cztery robry to jest około 4 godzin. W brydża gram od 5 lat, więc łatwo można obliczyć, ile to mi zabiera czasu.

Prof. dr STANISŁAW SKOWRON

Przed południem praca naukowa w zakładzie, później po krótkim odpoczynku lektura naukowa w domu. A dla siebie literatura historyczna. To wszystko wypełnia czas bez reszty.

(Dokończenie na str. 8)

TEGO JESZCZE



NIE BYŁO

KONKURS

Tak, tego jeszcze nie było. Każdy z Was,

CZYTELNICY

ma szanse za naszym pośrednictwem przesłać

**GRATISOWO ZYCZENIA NOWOROCZNE
SWYM NAJBLIŻSZYM**

krewnym i znajomym, a także instytucjom.

Teksty życzeń ogłoszone zostaną w numerze świątecznym i noworocznym, jeśli tylko spełnicie kilka warunków, które poniżej wyszczególniamy w punktach:

1. Życzenia należy przysyłać na załączonych obok kuponach. Kupon należy umieścić w kopercie z dopiskiem (obok adresu redakcji) „ZYCZENIA ŚWIĄTECZNE”.
2. Tekst życzeń nie może przekraczać 20 słów.
3. Termin nadsyłania życzeń jest niezwykle krótki, mija z dniem 15 grudnia br. Decyduje stempel datownika pocztowego.
4. Życzenia można nadsyłać tylko pocztą.
5. Za najładniejsze, najoryginalniejsze, najdowcipniejsze i najprostsze życzenia REDAKCJA PRZEZNACZA PIĘKNE UPOMINKI ŚWIĄTECZNE W POSTACI NESESERÓW, EKSPRESU DO KAWY, TECZKI SKÓRZANEJ ITP.
6. Życzenia nagrodzone i wyróżnione zamieścimy w numerze świątecznym. Oczywiście ilość ich ograniczona będzie miejscem, które redakcja przeznaczy. Czekamy na kupony, wypełnione nieszablonoową treścią. Od pomysłowości i inwencji Czytelników zależy, czy życzenia będą drukowane i nagradzane.

KUPON KONKURSU

Tekst życzeń (nie więcej niż 20 słów)

Imię i nazwisko, adres Czytelnika

Kupon należy włożyć do koperty i zaadresować: KRAKÓW, WIELOPOLE 1, REDAKCJA „ZDARZEN” oraz umieścić dopisek: ZYCZENIA ŚWIĄTECZNE.

STANISŁAW LE M



FELIETON



REKLAMOWY



Spodobała mi się od pierwszego spojrzenia. Jej solidność budziła zaufanie; nie była może specjalnie nowoczesna, ale praktyczna. Pomyślałem, jak to będzie dobrze, kiedy przyniosę ją do domu. Jestem zwolennikiem postępu, a postęp — to mechanizacja pracy. Poza tym nie umiem krajać chleba; bochenek, który wychodzi spod mojej ręki, przychodzi na myśl wydarzenia gwałtowne i kończące się okropnie kataklizmy i katastrofy. Sam się dziwię, kiedy uda mi się kromka, jako tako podobna do ludzi. Zmuszony jestem przeto konstruować na codzień rozmaite chytre wybiegi — powiadam na przykład, że ja lubię nadzwyczaj grube pajdy, i kroję tak umyślnie. Jednakże tłumaczenia takie mają krótkie nogi. A teraz mogłem się raz na zawsze pozbyć kłopotów. Maszynka stała na wystawie i kosztowała sto złotych z groszami. Miała politurowany blat, lśniącą tarczę kształtu koła i korbę. Była polakierowana na zielono, barwami optymistycznymi, przywodzącymi na myśl łany kłoniącej się na wietrze młodej runi. Sto złotych, to sto złotych, ale taką maszynkę ma się, można powiedzieć, na całe życie. Jeszcze się trochę wahalem, ale przyszyły nowe refleksje, ustawiające problem na szerszej, niejako ogólnospołecznej płaszczyźnie.

Do niedawna takich maszynek nie było. Obecnie pojawiły się. Widać zmianę. Ludzie, którzy nie umieli, nie mogli dotąd znaleźć ujścia dla swoich dobrych chęci i talentów, zawiązali spółdzielnię. Cała masa ludzi zyskała dzięki temu robotę. Ktoś — pewno jakiś specjalista-konstruktor od maszyn domowych — narysował plan. Ktoś inny zbadał go i zatwierdził. Potem buchalterzy i kosztownicy wzięli się do opracowania kosztorysu. Rozesłano zamówienia na surowiec. Żeliwną obudowę odlewają jakieś poważne zakłady w ramach ubocznej produkcji. Robotnicy składają części, wytłaczają blachy, montują całość na deskach, oliwiają ją, oczyszczają, regulują. O wszystkim pomyślano: korba obraca koła zębate, kręci nożem, metalowa przystawka pozwala regulować grubość krojonej skibki, specjalny uchwyt przy mocowaniu maszynkę do stołu. Ież to ludzi trzusi się nad tym, aby można precyzyjnie i szybko kroić bochenek dobrze wypieczonego chleba! Jeżeli kupię maszynkę, praca ich w oczywisty sposób nie pójdzie na mar-

ne. To ja zamknę ów krąg, który rozpoczął się w kopalniach rudy żelaza, przy konstruktorskich rajsbretach, w kolektywie spółdzielczym, kiedy padła pierwsza śmiała myśl: wyprodukujemy rzecz, potrzebną w każdym domu, każdej rodzinie! Ja, jako ostatnie ogniwo łańcucha skupułonej pracy. Odnowa, odrodzenie inicjatywy, sprawność, fachowość, solidność. Wszedłem do sklepu i kupiłem maszynkę. Stare nawyki jeszcze tkwiły we mnie głęboko. Wypróbowałem ją więc dokładnie — czy korba się kręci? Kręciła się. Czy noż się rusza? Ruszał się. Czy zawiasy chodzą? Chodziły. Maszynkę, zapakowaną w grubą papier, wziąłem pod pachę, i dziwiąc się jej wadze, zaniósłem do domu.

Nie powiem, żeby wzbudziła od razu entuzjazm, ale przyjęcie nie było też lodowate. Ponieważ miałem już pewną, jak dotąd tylko teoretyczną wprawę, nabytą w czasie rozmyślań podczas jej dzwigania, podjąłem się publicznej demonstracji.

Przykręciłem ją, ustawiłem, naregulowałem i wsadziłem chleb. Szło ciężko — ledwo mogłem ruszyć korba; miałem wrażenie, że kroję oponę samochodową. Kromka, zaczęta jak taka, zwichrowała się w połowie, stanęła dęba, wlaża gdzieś pod sam spód krojącej tarczy i rozleciała się na strzępy. Zmieniłem regulację, i zaatakowałem bochenek ze wzmocnioną energią. Tym razem kromka wyszła jakby spod walca drogowego; w dodatku nie dała się wyciągnąć z maszynki, uwiecznawszy skórka w szparze, w której obraca się noż. Zaciężewiony, kręciłem raz po raz, aż zestrugałem pół bochenka chleba. Rezultatem moich obfitych potem skropionych wysiłków był stos szczytków, przypominający resztki jakiejś psiej uczy.

Dalsze, godzinne studia oraz zniszczenie, to jest rozstrzeżenie na drobne kawałki pozostałej połówki chleba doprowadziły mnie zwolna, lecz nieuchronnie do przeświadczenia, że maszynką chleba krajać nie można. Obracana wolno i szybko, łagodnie lub gwałtownie, z regulacją na kromkę grubą, bądź cienką, daje zawsze w rezultacie obrazy spustoszenia przed których opisem wzdryga się pióro. Rozebrałem ją przy pomocy śrubokrętu, wniknąłem w myśl konstrukcyjną, na ile pozwalała mi posiadana wiedza, złożyłem z powrotem i obróciłem z jej

potencją jeszcze pół bochenka w zasmucającą serce ruinę.

Zmęczonemu, zastąpili mnie domownicy. Na koniec i ich wysiłki doprowadziły do analogicznego rezultatu; osowiali, z opuszczonymi rękami wpatrywaliśmy się wszyscy z niemym wyrzutem w lśniącą wesołość, solidną, nowiuteńką maszynkę, polakierowaną na zielono. Jej noż nie kroi chleba, lecz zgaiata go i rwie. Jej obudowa uniemożliwia formowanie się skibki, gdyż odciaga ją, spycha z właściwej drogi, a na koniec wtlacza w szparę noża i tam kończy dzieło zniszczenia jednym efektywnym szarpnięciem, podobnym do ruchu paszczy buldoga. Maszynka nie jest zwięzieniem wysiłków robotników, ale ich grobem; twór to w najwyższym stopniu nieużyteczny, gdyż jedynej czynności, do jakiej została wymyślona, zaplanowana i sporządzona, to jest krajania chleba, spełnić nie może.

Może za to robić inne rzeczy. A więc, usprawiedliwić bytowanie spółdzielni „Piaś”, której imię tak pięknie przywodzi na myśl tradycję, prastarą tradycję słowiańską oraz najpierwsze początki naszego państwowego bytu. Czyni konieczną pracę buchalterów, kosztowców, oraz planistów. Stanowi źródło popyту na wszelakie surowce, od drzewa i polityru zaczynając, na żelazie i oliwie kończąc. Wszystkie te wszakże, logiczne i celowo szczipione ze sobą cziny ludzkiego postępowania, zwiędza, jako ich summa i kres, maszynka, będąca absolutnym absurdem, przykładem pure-nonsensu, tworem, godnym malarza-surrealisty.

Ponadto budzi ona określone emocje. Im dłużej ogląda się jej precyzyjną formę, jej zamasytą korbę, jej tryby i noż, tym większą ma się ochotę rozbić ją na głowie pana, który ją wymyślił, i drugiego, który ją wyprodukował. Nie zapominając, ma się rozumieć, o kontroli technicznej. Jednakże postępowanie takie nie leży w mych możliwościach. Leży w nich co innego: ostrzeżenie PT szerokiej publiczności! Co właśnie niniejszym czynię, z głębi serca wołając: nie dajcie się omamić złudzie i fałszywemu pozorowi! Lśnieniu, blaskom, lakierowi, ani korbie! Pod żadnym warunkiem nie kupujcie maszynkę do krajania chleba marki „Piaś”, chyba, że macie zamiar wejść na drogę rozważań pełnych pesymizmu, jałowej negacji oraz nie-

rozsądnego malkontentstwa! Jeżeli będziecie twardzi, po jakimś czasie Spółdzielnia Piaś, nie znajdując zbytu dla swoich nie krajających chleba maszynek, w obawie, że się nimi udławi, zmuszona będzie wstrzymać tę swoją produkcyjną działalność, a wówczas — wówczas, kto wie, być może, zacznie produkować jakieś przedmioty i maszynki choć odrobinnie — choć trochę, powiadam, pożyteczniejsze...

zd^{*}żenia

ZIEMIA CZY KSIĘŻYC?

„Gdy przedstawiciel AL AHRAM zapytał, czy Rosjanie mają nadzieję dotrzeć wkrótce na księżyc, Chruszczow odpowiedział: „Nie wiem dokładnie, mam jednak nadzieję, że zanim osiągniemy księżyc, rozwiążemy przed tym problemy ziemskie”. Przedstawiciel AL AHRAM zaoferował się być pierwszym dziennikarzem, który na ochotnika zostanie pasażerem w statku kosmicznym. Chruszczow odpowiedział na to: „Nie w pierwszej rakiecie kosmicznej. Proszę pozostawić to tym, którzy są w rozpaczy. Jest wielu innych ludzi, którzy powinni zostać pasażerami statku kosmicznego przed panem”. Przedstawiciel AL AHRAM zapytał: „Czy np. Dulles?” Chruszczow odpowiedział: „To jest pomysł. Czy mógłby pan nakłonić go do tego?” (REUTER).

DZIWNE OZNAKI

„W naszym stuleciu wszystko jest możliwe, nawet jeśli wydaje się mało prawdopodobne. Niektórzy ludzie sądzą, że dziwne oznaki — latające talerze i inne przedmioty, o których realności ich obserwatorzy mówią z przekonaniem, mogą istotnie pochodzić z przestrzeni kosmicznej. Skoro mamy zamiar dotrzeć do innych planet, to czyż jest rzeczą niemożliwą, że nasz glob odwiedzą goście, chociaż nie mamy pojęcia, z jakiej planety mogą oni przybyć”. („NEW STATESMAN”).

MACMILLAN I FRANKLIN

„Premier Macmillan posłużył się cytatem Beniamina Franklina z jego przemówienia wygłoszonego 200 lat temu. „Panowie, musimy złączyć się ze sobą, bo w przeciwnym wypadku zawiśniemy każdy z osobna (Gentlemen, we must hang together or we will most assuredly hang separately)”. (REUTER).

W DZIESIĘĆ DNI NA KSIĘŻYC

TWÓRCA V-2

O PODRÓŻACH MIĘDZYPLANETARNYCH

Poniżej zamieszczamy obszernie fragmenty wywiadu z dr. Wernherem von Braun — ekspertem od pocisków raketowych — zamieszczonym w tygodniku „US News and World Report”. Dr von Braun wynalazł niemiecką rakietę V-2 z czasów II wojny światowej. Obecnie stoi on na czele Amerykańskiego Wojskowego Ośrodka Badań pocisków zdalnie kierowanych.

Pytanie: Czy człowiek będzie mógł kiedykolwiek wylecieć poza atmosferę, w przestrzeń międzyplanetarną na wysokość 250—300 mil ponad ziemię?

Dr. von Braun: Tak, nie ma ściśle określonej granicy górnej warstwy atmosfery. Atmosfera staje się coraz to rzadsza, aż wreszcie zanika zupełnie.

P. Czy człowiek znieśie taką wysokość?

Dr. v. Br.: Tak. Na najwyższej wysokości, na jaką wzniósł się do tej pory człowiek, 90 proc. atmosfery ziemskiej już nie istniało. Tak pozostaje problem utraty tylko pozostałych 10 proc. atmosfery. Jeśli kabina pilota o specjalnym ciśnieniu uległa zniszczeniu na najwyższej wysokości osiągniętej przez samoloty, skutek byłby ten sam dla pilota, jakby to miało miejsce w przestrzeni międzyplanetarnej.

P. Czy będzie Pan mógł posłać tam człowieka w ciągu najbliższych 5 lat?

Dr. v. Br.: Są pewne trudności. Istnieją już liczne rakiety, w których człowiek może wznieść się do stratosfery, lecz w jaki sposób powróciłby on żywy? Najważniejszą trudnością sprawia sprowadzenie z powrotem na ziemię człowieka. Z tego powodu w rakietach bez skrzydeł nigdy nie latali ludzie.

P. A więc idea powietrznych statków międzyplanetarnych o specjalnym ciśnieniu nie jest fantazją?

Dr. v. Br.: Nie, w rzeczywistości równie łatwo jest utrzymać odpowiednie ciśnienie w kabinie samolotów, które już dziś latają w celach badawczych na najwyż-

szych wysokościach, jak w rakietach, które będą poruszać się w próżni przestrzeni międzyplanetarnych.

P. Czy człowiek był już na takiej wysokości, gdzie zupełnie nie ma atmosfery?

Dr. v. Br.: Tak.

P. Czy specjalny rodzaj spadochronu jest obecnie tym jedynym środkiem, przy pomocy którego sprowadza się go z powrotem na dół, na ziemię?

Dr. v. Br.: Z tego powodu wszystkie loty rakiet z ludźmi odbywały się w samolotach ze skrzydłami, właśnie po to, aby człowiek mógł lądować na ziemi. Jeśli umieści się człowieka w rakiecie poruszającej się pionowo, może on wylądować tylko przy użyciu spadochronu, lecz jest to przedsięwzięcie ryzykowne. Bezpieczniej jest umieścić go w kabinie rakiety ze skrzydłem o odpowiednim ciśnieniu.

P. Jeżeli wyrzuci się już stacje międzyplanetarne, jakim praktycznym celem mogą one służyć?

Dr. v. Br.: Najważniejsze ich znaczenie polega, moim zdaniem, na tym, iż mogą stać się punktami, przy pomocy których będzie można wniknąć dalej w prze-

strzeń międzyplanetarną. Będzie to decydujący krok dla przewyższenia przyciągania ziemi. W chwili obecnej jest prawie niemożliwe lecieć bezpośrednio na Księżyc i z pewnością nie będzie można odbywać bezpośrednich lotów na planety. Stacje międzyplanetarne jako ogniwa pośrednie są konieczne dla coraz to dłuższych podróży.

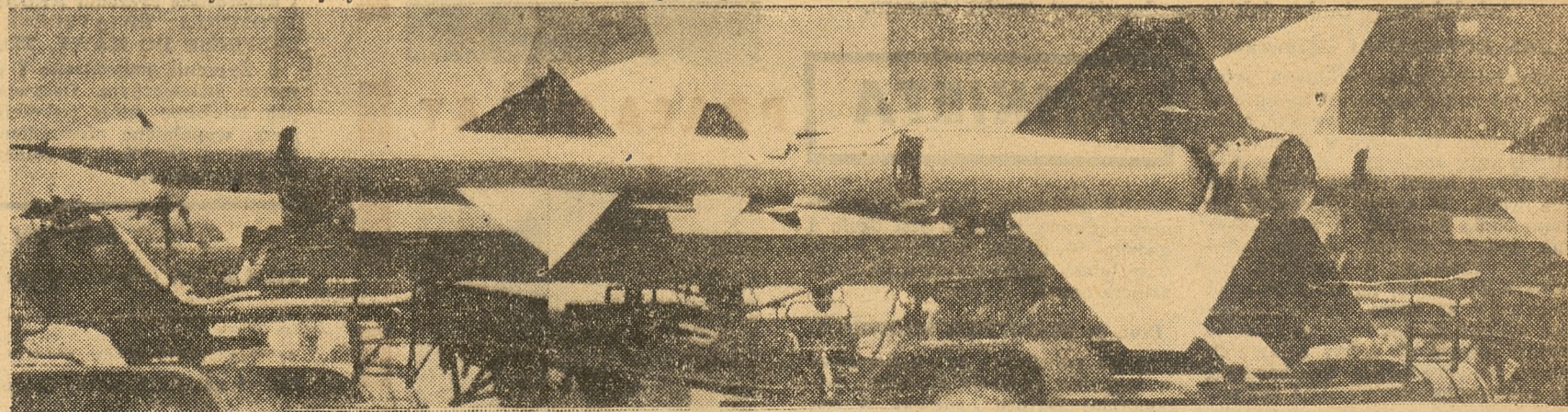
P. Czy sądzi Pan, iż będzie Pan mógł zbudować ostatecznie potężną platformę, z której następną z kolei rakietą mogłaby zostać wystrzelona?

Dr. v. Br.: Tak. Najważniejszą rzeczą jest nie tyle zbudowanie potężnej stacji międzyplanetarnej, jak użycie jej w charakterze stacji paliwa.

P. Czy nie sprawiłoby Panu trudności przedstawienie nam jak wyglądałoby poruszanie się z jednej rakiety do drugiej?

Dr. v. Br.: Lecąc po orbicie, oczywiście w ubraniu przystosowanym do podróży międzyplanetarnych, otwiera się drzwi i wychodzi ze statku. W tym momencie człowiek staje się satelitą własnej rakiety.

P. Jak można dojść do następnej rakiety?



Podczas defilady w Moskwie w 40 rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej — pokazane zostały różnego typu rakiet dalekosiężne. Przedstawiciele państw zachodnich byli pełni podziwu i zachwytu, czemu dała wyraz drasa zachodnia w swych sprawozdaniach.

WIDZIAŁEM OPERACJĘ SERCA

Siedzimy w trójce: doktor, kolega, ja.
— Za dużo pan pali — odzywa się doktor.
— Przecież pan także! Znamy się nie od dziś... — ironizuję.
— Ja już nie palę. Serce.
— Co? — mówię rozbawiony, — no, tak — to pewnie skutki zapalenia się na operowanych!
— Możliwe...
— Pan, doktorze — zmieniam szybko kierunek dialogu — przeprowadzał ostatnio operacje serca?
Potakuje. Kolega wtrąca się:
— Nigdy nie widziałem takiego

zabiegu. Chętnie bym to sfotografował.
— Proszę bardzo. Właśnie za kilka dni przystąpimy do takiej operacji.
— A można ją będzie obejrzeć? — podchwytuję, więcej z grzeczności, aniżeli przez ciekawość.
— Naturalnie. Skoro was to interesuje... Dam znać.
Rzeczywiście, doktor W. Laszczak kierownik Oddziału Chirurgii Klatki Piersiowej Miejskiego Szpitala Specjalistycznego w Krakowie, dokładny jak każdy chirurg — dał znać o przygotowywanej się operacji. Cóż

było robić? Ciekawe? Na pewno. Wprawdzie nie wiem dokładnie, na czym polega ów przypadek chorobowy — ale od czego ma się znajomości wśród lekarzy! Na wszelki wypadek odnajduję dra Stanowskiego. Kardiolog — więc specjalista. Po wtóre: mój lekarz gimnazjalny (dawał zwolnienia z gimnastyki, swój człowiek!) Tertio — wyleczył mnie z kamieni nerkowych.

Nie powiem, żeby się tak bardzo ucieszył moją wizytą. Myślał, że znów jakieś zwolnienie...
— Ja na operację serca! — wywiodłem go z błędu.

— Do Laszczaka! — odrzekł rzeczowo. — Najpierw jednak obserwacja, zrobimy EKG...
— Doktorze, na razie nie dotyczy to mojej osoby... — (choć odczułem teraz ułknięcie w sercu). — Chcę zobaczyć, opisać — a mea culpa! wiedz o przedmiocie żadna... Zresztą, dr Laszczak wspominał mi...

— Świetnie. Wszystko się zgadza. Operowaną będzie moja pacjentka... Pan wie, jako kierownik woj. ośrodka kardiologicznego, nie mówiąc o pododdziale kardiologicznym przy Oddziale Wewn. Szpitala im. Narutowicza, oraz z uwagi na Szpital Specjalistyczny...
Otworzyłem usta ze zdziwienia. Całe koło się zamknęło.
— Ma pan tu materiały fachowe do przeczytania! — wepchnął mi kilkanaście książek.
Wyszedłem w charakterze przenoś-

nej biblioteczki medycznej Postanowiłem pić kawę wyłącznie w domu. Książki i broszury przeczytałem. Przezuwając lekturę — zacząłem myśleć o sobie jak o analfabecie. Zrozumiałem niewiele. Na szczęście, kiedy ukończyłem najgrubsze tomiska — dostrzegłem 24-stronicową broszurkę „Przypadek nabytego zwężenia lewego ujścia żylnego leczony operacyjnie (cardiocommissurotomią) z równoczesną kontrolą elektrokardiologiczną”. Autorzy: dr med. M. Juszczyński — i dr med. J. Stanowski — zaprowadzili mnie na salę operacyjną...

UWAGA: SERCE!

Poranne słońce operuje na sali. Z okien widać czubki świerków, a może sosen... (W Krakowie, Prądnik, Szpital Specjalistyczny.) Pachnie, oczywiście — szpitalem. Ciepło snuje się od kaloryferów, nie od słońca. Listopad. Oszronione dachy. Dr Laszczak, zamiast na powitanie — wyciąga rękę z kitkami, tamponami, czepkami i pokrowcami na buty. Pod oknem gabinetu (2x2 m) stoją z nazwiskami ludzi. Pamiętamy pooperacyjne. Ludzie chodzą po ulicach miasta i drogami wsi — ale ich jakaś cząstka została tutaj...

Nie ma czasu na liryczne westchnienia. Przebrani na białe, zakryci aż po oczodoły tamponami-maskami — zamieniamy się w dodatkową asystę lekarską.

T E K S T

JERZY BOBER

REPORTAŻ

ZDJĘCIA
A. PIOTROWSKI

UWAGA!

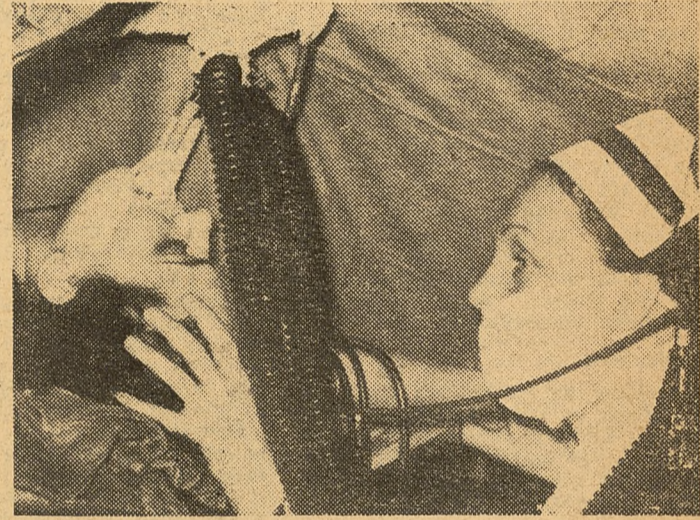
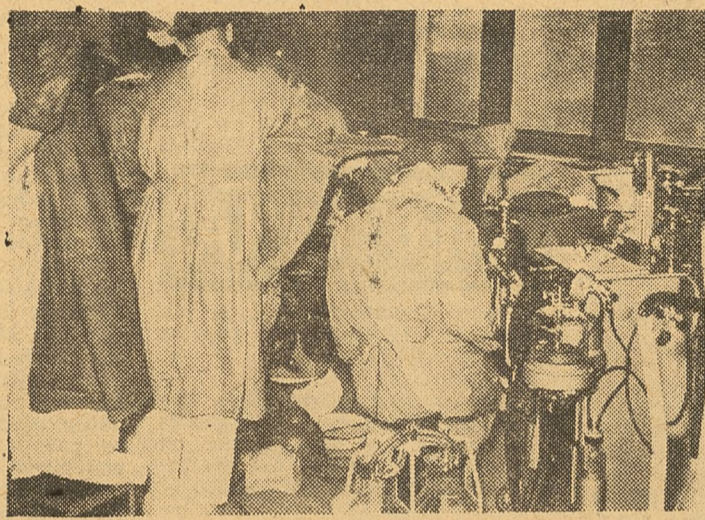
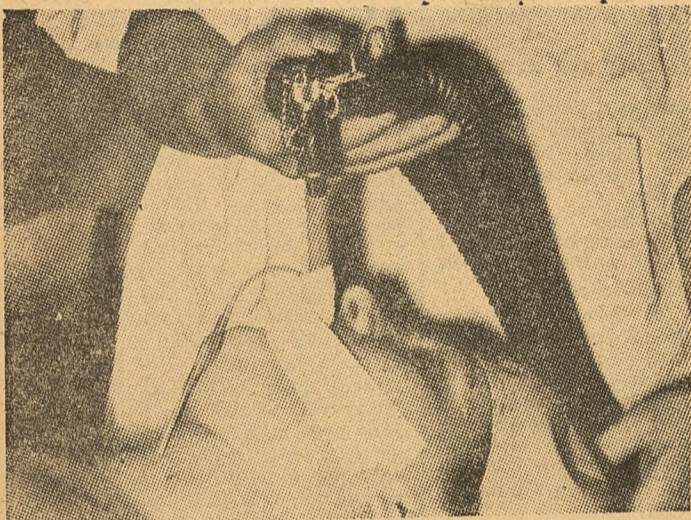
Godz. 7.30.

W przedsiönku do sali operacyjnej. Wózek szpitalny. Młoda dziewczyna. Jej głowa w gumowym czepku upodabnia się do ilustracji z zawodów pływackich. Przy wózku siostra. Oczywiście dziewczyna lekko zamglona. Jest oszołomiona środkami odurzającymi.

Godz. 8.00.

Sala. Pacjentka podjeżdża pod wielką tarczę lampy. Kroplówka dożylna z nowokainy. Intubacja czyli: zastrzyk działający usypiająco, za chwilę — celem zwiótczenia mięśni — dziewczyna otrzymuje środki z grupy kurary. Następnie do tchawicy wprowadza się rurkę gumową aparatu do znieczulenia ogólnego. Część

(Dokończenie na stronie 4.)



18 000 MIL NA GODZINĘ

P. Czy jeżeli platformy międzyplanetarne zostaną wystrzelone, czy ludzie będą mogli odbywać z nich loty na Księżyc?

Dr. v. Br.: Jest oczywiście łatwiej odbyć lot z takiej stacji na Księżyc niż zbudować samą stację. Rakiety, które mogłyby rzeczywiście podnieść do orbity wiele ton są pierwszym istotnym krokiem. Rakiety takie są dostępne, problem polega na ich dostatecznej ilości dla zgromadzenia wystarczającego ciężaru, aby napędzić okręt zdolny do lotu na Księżyc.

Wycieczka na Księżyc — 10 dni

P. Jak długo trwałaby podróż na Księżyc?

Dr., v. Br.: Sądę, iż w pierwszym stadium lot na Księżyc odbędzie się bez lądowania. Będzie to lot wokół Księżycy. Pięć dni — to będzie minimum potrzebne na wydotanie się z naszej orbity na Księżyc i z powrotem. Pięć dni tam i pięć dni z powrotem.

P. Nie mogłaby ta podróż obejmować lądowania?

Dr. v. Br.: Podróż wokół Księżycy i powrót na stację międzyplanetarną bez lądowania na Księżycu i startowania z niego znacznie bardziej pozwala oszczędzać paliwa. Lądowanie na Księżycu i powrót pociąga konieczność lądowania statku powietrznego i jego startu, a na to zużywa się dużo energii.

P. Dlaczego ktoś chciałby odbyć podróż na Księżyc?

Dr. v. Br.: Edmund Hilary odpowiedział, gdy pytano go, dia-

czego chciał wspiąć się na szczyt Mount Everest: „Ponieważ on istnieje”.

P. Czy jeśli wydotaniemy się poza atmosferę, 500 mil ponad powierzchnię ziemi, czy człowiek spotka się z problemami nieważkości?

Dr. v. Br.: Tak.

P. Czy człowiek przeżyje to?

Dr. v. Br.: Nieważkość może być symulowana w samolocie na określony przeciąg czasu. Najprościej można to osiągnąć lecąc samolotem na dużej wysokości według tzw. balistycznego łuku. Na ten temat opublikowano już rozprawy. Dokonano nawet takich balistycznych lotów z pasażerami na pokładzie przywiązanych do foteli, przeprowadzając doświadczenia zmierzające do zbadania reakcji ludzi na tego rodzaju warunki... Wynikałoby z tego, że prawdopodobnie można człowieka do warunków tych przyzwyczaić.

Problem nieważkości występuje w podwójnym znaczeniu: jako problem fizyczny i jako problem psychologiczny. Problem fizyczny jest łatwiejszy. Człowiek może spać i jeść w pozycji poziomej równie dobrze, jak w pozycji pionowej. Tak że nieważkość nie sprawia tu trudności. W rzeczywistości można jeść nawet wisząc głową na dół... Ale problem psychologiczny jest ważniejszy. Zwykle nieważkość odczuwa się wychodząc z wody na brzeg; człowiek nie odczuwa swego ciężaru, jak długo znajduje się pod wodą. Jest to związane z rolą jaką spełnia w naszym organizmie pewien organ ucha wewnętrzznego... Organizm ludzki jest tak zbudowany, że gdy znajdzie się w momencie odczucia nieważkości, całe ciało znajduje się w stanie alarmu, ponieważ zwykle po tym wrażeniu następuje uraz lub uderzenie. W rezultacie alarm przy-

gotowuje organizm do takiego następstwa.

Wielki problem trwającego dłużej stanu nieważkości jest więc następujący: co się stanie, gdy po tym alarmie nie będzie wyraźnego sygnału odwoławczego? Czy ciało i mózg przyzwyczajają się do tego i będą uważały za naturalne, że nie ma po nim żadnych następstw?

P. Czy prowadzone przez was krótkie doświadczenia wskazują, że ludzi można do tego przyzwyczaić?

Dr. v. Br.: Tak. Nasze dotychczasowe doświadczenia wskazują, że ludzie nieprzyzwyczajeni do tego wpadają w swojego rodzaju panikę, ponieważ nie przystosowali się do tych warunków. Jednakowoż, gdy raz się do nich przyzwyczajają — wszystko jest w porządku, zupełnie tak, jak się to dzieje z ludźmi, którzy będąc po raz pierwszy na pokładzie samolotu bali się i byli niepewni, podczas gdy dzisiaj pasażerowie lecąc samolotem nie odczuwają żadnych wrażeń, nawet wyglądając podczas lotu z okna.

P. Czy gdybyśmy mieli obracającą się naokoło ziemi platformę, to znajdujący się na niej ludzie mogliby poddać się takiej reakcji nawet przez szereg dni lub tygodni?

Dr. v. Br.: Tak.

P. Czy będzie można to osiągnąć? Czy ludzie rzeczywiście przyzwyczajają się do tego?

Dr. v. Br.: Osobiście sądę, że nadejdzie czas, kiedy starzy „ludzie przestworzy” będą narzekać, że nie potrafią zasnąć w łóżku.

P. Czy będą występować inne jeszcze fenomeny?

Dr. v. Br.: Wydaje mi się, że problem nieważkości nie jest zbyt groźny. Trzeba tylko będzie zabezpieczyć się przed nim praktycznie. I tak np. nie będzie łatwo normalnie jeść, ze zwykłego ta-

lerza, ponieważ potrawa mogłaby niejako odpłynąć... Oczywiście inną ważną sprawą będzie urządzenie wentylacyjne, ponieważ mogłoby się zdarzyć, że ktoś znacznie wdychało to samo powietrze, które zużył — a tylko przez wentylację będzie można oczyścić powietrze z dwutlenku węgla. W normalnej atmosferze dwutlenek węgla po prostu opada na dół.

P. Zużyte powietrze z wydechu nie odpłynęłoby od człowieka — ale utrzymywałoby się przy nim jak chmura?

Dr. v. Br.: Tak, lecz prosty wiatrak elektryczny mógłby to zrobić odpychając je od człowieka.

P. A jak przedstawiałby się tam problem ciepła? Czy ludzimi przebywając w przestrzeni międzyplanetarnej nie grozi spalenie?

Dr. v. Br.: To jest bardzo interesująca kwestia. Przestrzeń międzyplanetarna uchodzi za bardzo zimną, ale w istocie rzeczy nie ma tam absolutnie żadnej temperatury, ponieważ ściśle biorąc temperatura stanowi miarę szybkości biegu drobnych cząstek. Zatem jeśli tam nie ma żadnych cząstek, nie może tam być żadnej temperatury.

P. Jednakże są tam przecież promienie słoneczne?

Dr. v. Br.: Tak.

P. A jeśli umieści się tam jakikolwiek ciało absorbujące promienie słoneczne, to uzyska ono temperaturę?

Dr. v. Br.: Tak. Innymi słowy — temperatura ciała w przestrzeni międzyplanetarnej określona jest tylko przez jeden czynnik, a mianowicie stosunkiem zachodzącym pomiędzy ciepłem słonecznym absorbowanym, a ciepłem wypromieniowywanym z powrotem w przestrzeń... Nie jest to problem nie do rozwiązania.

P. Czy będzie można skonstruować taką platformę? Jak się to zrobi i jak będzie ona wyglądała?

Dr. v. Br.: Dla stworzenia rozsądnych warunków życia w przestrzeni międzyplanetarnej trzeba będzie uczynić prawdopodobnie to, co następuje: na ziemi skonstruuje się szereg prefabrykatów, np. z materiałów plastycznych, nylonu itp., a następnie raketami ciężarowymi wystrzeli się je do orbity ziemskiej i spoi się je tam razem, w jedną strukturę, wykorzystując moc wewnętrznego ciśnienia — będzie to może tlen, aby osiągnąć sztuczną atmosferę na platformie. Przestrzeń zawarta wewnątrz tej struktury mogłaby posłużyć na miejsce dla pracy i mieszkania ludzi, przebywających na platformie. Najprawdopodobniej stacja będzie miała kształt kulisty, podobny do olbrzymiego koła samochodowego.

P. Jak szybko, pańskim zdaniem, będzie można skonstruować taką platformę przestrzenną?

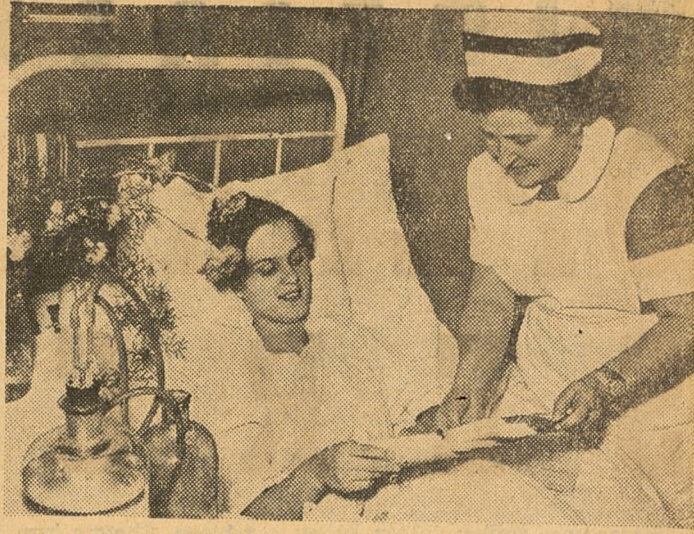
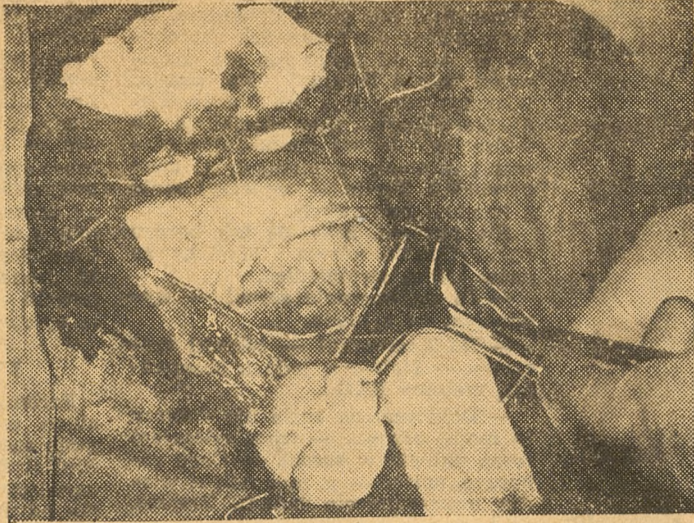
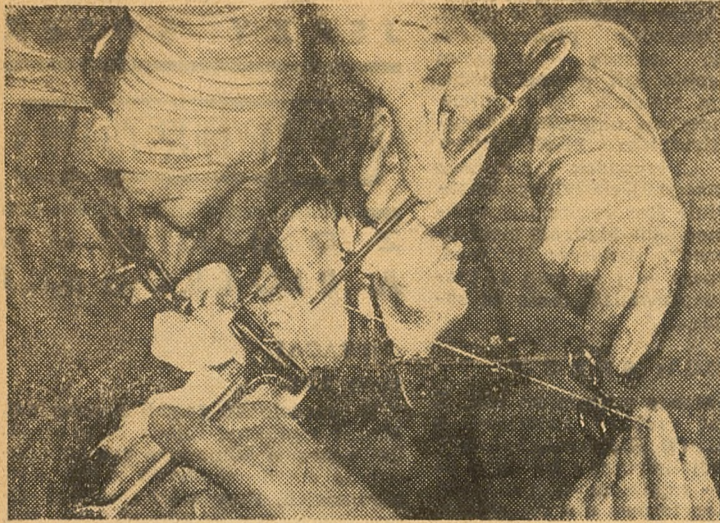
Dr. v. Br.: Za tym kryje się kwestia wysiłku finansowego. Sądę, że jest to problem naukowo-inżynierski, jak wiele innych, a zwykle element czasu jest uzależniony od tego, jak wielu inżynierów oraz naukowców poświęca określoną ilość czasu na rozwiązanie problemu.

P. Czy myśli Pan, że będzie można to zrobić za dziesięć lat, o ile włożony będzie odpowiedni wysiłek?

Dr. v. Br.: Może za piętnaście.

P. Mówią, że pańskim zdaniem około 1985 roku mógłby Pan zbudować platformę przestrzenną, zamieszkałą przez ludzi i krążącą wokół Ziemi na wysokości 1075 mil?

Dr. v. Br.: Tak — taki jest okres czasu, w którym prawdopodobnie moglibyśmy zbudować tego rodzaju stację.



WIDZIAŁEM OPERACJĘ SERCA

(Dokończenie ze str. 3)

tego aparatu: pulmomat — będzie odychać za operowaną, albowiem przez rurkę popłynie mieszanek tlen i znikoma ilość pareteru. Zespół operacyjny w pogotowiu. Gdyby wystąpiło zatrzymanie akcji serca — do trzech minut po tym — należy rozpocząć masaż.

Nie. Wszystko w porządku. Anestezjolog z siostrą anestezjologiczną siadają u wezłowa chorej, wpatrują w tablice i wskazówki mechanizmu, od którego zależy regulacja czynności operacyjnych.

Godz. 8.10.

Stajemy na niewielkich stołkach-stopniach, za zespołem operacyjnym. Twarz, kształt ciała dziewczyny — znikają pod szaroniebieskim płaszczem materiału. Tylko klatka piersiowa połyskuje różowym światłem. Nad zakrytymi nogami pacjentki wyrasta półka z narzędziami. Cisza.

Dłoń chirurga kreśli ołówkiem ciemną linię na ciele dziewczyny — od mostka po stronie lewej, przez międzyżebra. Naktucia igła strzykawki. Lekkie, zdawałoby się, ciec... I oto widzimy otwarcie klatki piersiowej.

Spodziewałem się znacznego wpływu krwi. Zaledwie kropelki. Ręce zespołu, jak jedna, posłuszna maszyna — podają, odbierają narzędzia, wyczuwają intencje operatora — bezgłośnie, harmonijnie, cicho. — Gdzież u licha, słyszałem, że chirurgi klną, denerwują się, skupiają uwagę wyłącznie na swojej osobie? — Spokojny głos operującego — ani o utątek nie zmienia barwy.

Tampony opadają do zbiornika. Anestezjolog wraz z siostrą anestezjologiczną — czuwają. Mechanizm oddechowy po ludzku. W szklanym stoju miarowo tyka metalowa płytka, jak tło.

Odświeżenie serca, które tkwi w worku osierdziowym...

Godz. 8.20.

Cieniutka igła strzykawki nakłuwają worek osierdziowy. Delikatny błysk noża. W otworze ukazuje się SERCE! Widać wyraźnie jego ruch. Głowy pochylone nad pukającym sercem.

Ni stąd ni zowad — przypominam sobie ów werset z Mickiewicza: „Miej serce i patrz w serce!” — Wybaczcie kliwy patos człowiekowi, który w młodości pisywał grafomańskie wiersze. Stąd ten ped do roztkliwiania się nad prawdziwą poezją. — „Miej serce” — no, natura dała, więc jest. Ale: „patrz w serce!” — dalebóg, droga od metafory do istotnego spojrzenia w serce — tu właśnie znalazła nieoczekiwane krótki czas urzeczywistnienia pojęcia. Poeta zapewne serca nigdy nie widział in natura, bo odszukałby jednak bardziej piękny kształt... Piękno ukrywa się w czymś innym. W misternej pracy rąk chirurga, które...

Godz. 8.30.

...precyzyjnie znieczulają ścianę lewego przedsionka serca, zakładają okrężny szew i zaciskają kleszczyki. Wreszcie odcinają kawałek ściany tzw. lewego przedsionka. Asysta równocześnie zdejmuję kleszczyki.

Operator wprowadza wskazujący palec prawej ręki przez powstały otwór. Krew wypływa z serca.

Zaczynam się niepokoić. Chirurg wyczuwając nastrój laika, rzuca półgłosem: „wypływ krwi jest celowy. Ma ona wyrzucić ewentualne skrzepy z wnętrza serca!”

Jeszcze odruchowo spoglądam ku przykucniętemu nad aparatem anestezjologowi. Słyszę monotony mel-dunek: „wszystko nadal w porządku!”

Tymczasem wprowadzony przez operującego palec, bada zastawkę i stopień jej zwięzienia. Zbliża się główny cel zabiegu: ZWĘŻONY OTWOR ZASTAWKI ZOSTAJE POSZERZONY PALCEM CHIRURGA! Trwa to najwyżej przez czas czterech ruchów serca...

Godz. 8.40.

Znow krew po wycofaniu palca. Zakładanie kleszczyków. I teraz — prawdziwie koronkowa robota: zeszyście otworu w przedsionku wraz z zaciśnięciem szwu u podstawy tegoż otworu. Serce wciąż w ruchu. Ręka operatora zręcznie przeciąga cieniutką nici...

Trudno uwierzyć, że tam, pod niebieskim okryciem — żyje uspiiony człowiek, który odzyskuje swoje serce!

Instrumenty lśnią w podwójnym blasku: słońca i sztucznego światła lampy. Wysoko, u nóg operowanej klosze kropłówki. Na okiennym parapiecie trzepoce się zabłąkany wróbel.

Wzrok płynie ponownie ku trzepocącemu się, ludzkiemu sercu. Ale, już go nie widać. Zamyka go zszywany worek osierdziowy.

Godz. 8.50.

Jeszcze tylko założyć dren i już nastąpi życie klatki piersiowej.

Godz. 9.00.

— Dziękuję państwu — mówi operator tym samym tonem, co przed godziną. Na żadnej twarzy nie dostrzegam uśmiechu. Tylko oczy obie-gające cały zespół wyrażają ów zrozumiałe błysk satysfakcji. Dopiero



później uzmysławiam sobie, że nie mogłem dojrzeć uśmiechu poprzez gazowe tampony...

Extubacja.

Koniec zabiegu operacyjnego. Początek czegoś nowego dla uspiionej dziewczyny... Jej serce będzie od dziś działało normalnie. Ale ona jeszcze sobie tego nie uświadamia.

SERCE NA PAPIERZE

Tzw. nabyte wady serca są już dzisiaj powszechną, społeczną chorobą. Powstają głównie w następstwie choroby reumatycznej atakującej błonę wewnętrzną serca, wśierdzie — a więc zastawki. W ostrym okresie choroby stosuje się duże dawki antybiotyków, co może prowadzić do wyleczenia. Niestety, w wypadku zbliznowacenia zastawek, które powodują ich zwięzienie czy niedomykalność — tego rodzaju kuracja bywa zawodna. Najczęściej występuje jako wada: zwięzienie zastawki dwudzielnej (między przedsionkiem a lewą komorą). Krew nie może normalnie kursować w organizmie.

W USA na milion chorych reum. — 85% przypada na wspomnianą wadę. Nieleczona prowadzi do zgonu w średnim wieku.

Jako wada mechaniczna — wymaga leczenia względnie poprawy stanu — tylko drogą mechanicznego zabiegu. Dzięki rozwojowi nowoczesnej narkozy, antybiotykami i technice operacyjnej w zakresie

klatki piersiowej, chirurgiczne leczenie tej wady serca — jest dzisiaj całkowicie możliwe i ma za sobą poważne, skuteczne wyniki.

Poszczególne ośrodki na świecie notują na swym koncie już setki wykonanych operacji. Rok temu odbył się w Warszawie zjazd poświęcony chirurgicznemu leczeniu tej wady z udziałem chirurgów angielskich, francuskich, szwedzkich i radzieckich. Polska chirurgia mogła wówczas przedstawić także i własne osiągnięcia w tej dziedzinie.

DZIEWCZYNA — I JEJ SERCE...

Nie zamierzam dopisywać tu żadnej romantycznej anegdoty. Jest przecież obowiązkiem kronikarza zamknąć kłamerę ekspozycyjną — jakąś pointą.

Pointa niniejszego wydarzenia przypadnie w zaciśnięciu pokoiu i wzruszającym tête a tête z Wandą K., osobą liczącą lat 21.

Wanda leży (a właściwie już siedzi). Na stoliku kwiaty. Uśmiecha się. Mówi nawet, że zapamiętała mnie z sali operacyjnej. Wprawdzie jeszcze dwóch lekarzy, oprócz mnie, nosiło okulary nad tamponami — ale zawsze, to przyjemnie łaskocze wrażliwość ludzką...

Jest kasjerka. Wkrótce powróci do swego zawodu.

— Wie pan, trochę się obawiałam tej operacji. Namówili mnie obaj doktorzy — Stanowski i Laszczak. Mimo odrobiny lęku — zdecydowałam się. Bo, właściwie po każdym, nawet niewielkim wysiłku — odczuwałam zmęczenie, duszność... Coż to za życie! Kiedyś, jako dziecko przechodziłam zapalenie płuc, anginę — i odtąd czuję, że mam serce... — śmieje się.

— No, teraz dopiero ma pani dobre serce. Można się już bez przeszkód zakochać...

Mruży oczy.

— Pewnie, że można.

— O, widzę jakąś fotografię na stoliku! Narzeczony?

— Nie. Fotografia mojego serca podczas operacji...

— Trzeba wymienić zdjęcie. Serce niech sobie spoczywa we właściwym miejscu. Był z nim nie igrać... — Ale, tam na drugiej fotografii nie podoba mi się moja twarz. Czy ja rzeczywiście tak źle wyglądałam? Oho, myślę — dziewczyna już zdrowieje!

JERZY BOBER

KARIERA TRUCIZNY CZYLI KURARA I NAGRODA NOBLA

Ewa Pobratyńska, bohaterka „Dziejów grzechu” Zeromskiego, zabiła swego kochanka, hrabiego Szczerbica, zastrzykiem straszliwej trucizny — kurary. Kurarę otrzymała się z kory i korzenia wielu rodzajów drzewa wschoanio-indyjskiego — kulczyby. W Ameryce Południowej, w dżunglach, zaciskających się nad ciemną taśmą Amazonki, Indianie od wieków posługiwali się kurarą do zatrąwania strzał. Uderzone taką strzałą zwierzę padało niemal natychmiast. Dusilo się. Kurara porażała błyskawicznie coraz to nowe grupy mięśni, rozprzestrzeniając się wraz ze strumieniem krwi w ciełe ranionego. Wyłączała mięśnie oka — oko nieruchomiało. Potem nieruchomiał język, szyja, łapy. Dalej — brzuch i mięśnie międzyżebrowe, dzięki którym zwierzę wykonuje ruchy oddechowe. Klatka piersiowa. Wreszcie zamierały ostatnie grupy mięśniowe, podtrzymujące oddech a z nim i życie.

Sir Walter Raleigh, sławny podróżnik i awanturnik angielski, przywiózł do kurary wiele okazów flory i fauny amerykańskiej. Był wiek XVII. Przywiózł również oryginal-



nego Indianina i — zapasy tytoniu. Indianin na pokazach urządzanych przez Anglika popisywał się kurzeniem tytonu. Tytoń od razu zyskał sobie sławę jako lekarstwo. Dziś uważamy palenie za trujący nałóg. Kurara nigdy nie miała opinii leku. Traktowano ją jako truciznę. Od razu po jej odkryciu „dobrzy, biali ludzie” zaczęli jej używać do tych właśnie celów do jakich stosowali ją Indianie. Tylko że ci ostatni zabijali zatrutymi strzałami zwierzęta, a biali? Poczęli się mordować wzajemnie poważnymi dawkami kurary. Tak wyglądała kariera tej trucizny aż do wybuchu II wojny światowej. Wówczas ktoś zaczął stosować ją jako lek przeciwtężcowy, ktoś inny użył jej w leczeniu chorób... umysłowych. Skromne początki. Szczytem kariery kurary stało się zastosowanie jej w chirurgii przez doktora Daniela Boveę, Włocha. Boveę za swój epokowy wynalazek otrzymał w roku bieżącym (1957) nagrodę Nobla w dziale medycyny.

Dlaczego zastosowanie trucizny w chirurgii nazywa się epokowym wynalazkiem? — Kurara pogłębia narkozę. Powoduje zahamowanie działania mięśni, których ruch przeszkadza w dokonywaniu zabiegu. Operacje serca stały się właśnie dlatego możliwe, że zastosowano w ich przebiegu kurarę jako środek porażający część mięśni oddechowych. Za pacjenta oddycha obecnie, jeśli tak się można wyrazić, lekarz — anestezjolog, który poślij gładząc się specjalnym aparatem tłoczy choremu w miarę potrzeby powietrze do płuc. Dzięki kurarze możliwe było wykonanie operacji, która obok właśnie opisujemy.

OGONECZEK

Państwo mi wybaczą, że czasami poruszam temaciki, rzec by można, z marginesu spraw ważnych. Moje „obyczaje” jednak są niezmiernie rozległe i ufam, że jeśli choć jeden czytelnik na tysiąc zastanowi się nad moją pisaniną i wyniesie dla siebie jakiegoś moralnego korzyści — moja praca jest społecznie użyteczna. A ufając — postanowiłem pomówić dziś o pladze naszego życia — więc nie o marginesowym marginesie. O kolejkach, ogonkach, rządach, zawijasach. O kulturze stania w ogonkach.

Bądź co bądź, my Polacy mamy już doświadczenie stania w ogonkach. Ogonki to ogon naszego życia. Umieemy już udawać „greka” i łądować się pod samą ładę twierdząc żeśmy tu byli przed godziną, albo jeszcze wtedy kiedy tej rudej pani z kółkiem w bok w ogóle nikt z obecnych nie widział. Umieemy trwać ponuro i wesoło, zgryźliwie i rozrabiacko, politycznie i apolitycznie, marginesowo i zasadniczo.

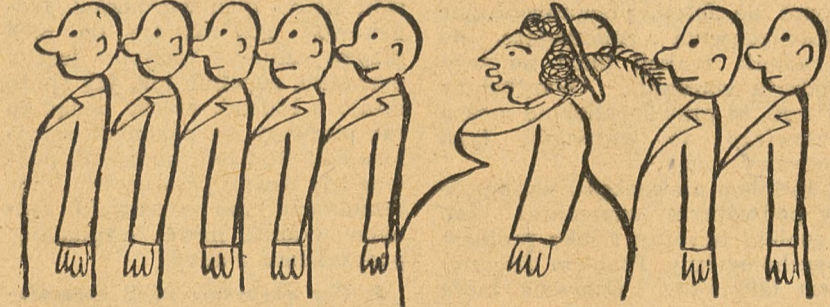
Wielu z nas stało w kolejkach z rezygnacją, jeszcze więcej z szwską pasją, w ogonkowych pogaduszkach wyładowując cały zapas swoich politycznych napiętości.

Mam i ja swoje kolejkowe doświadczenia, choć nienawidzę tego marnowania czasu społecznego, tego szarpania nerwów. Ale u diabła, niech mi kto powie, że my sami „kolejkowicze”, (jakby powiedzieli nasi kochani wynalazcy słów: „Totkowicz”, „Zagadkowicz” itp.) nie o-



brzydząmy sobie stania w kolejkach w miarę naszych sił i przyrodzonej nieuczuciwości-złośliwości?

Nasze biedne żony przynoszą nam dzień po dniu wiadomości, jak to jakaś wyfiocznona damula łądowała się z półtorarocznym dzieckiem bez kolejkki po jajka, a jej matka stała przy pustym wózku i pilnowała betów. Albo jak inna obywatelka,



na razie bezdzietna, pożyczyla dziecko od sąsiadki, żeby tylko wziąć jakieś atrakcje obecnego etapu bez kolejkki.

Nasze biedne żony też mają dzieci i też by mogły, ale one mówią, że po pierwsze to świnstwo, bo wszystkie młode kobiety mają dzieci, po drugie, że szkoda tych niemowlaków, którym dwieście osób musiałoby chęć nie chęć chuchać i kichać prosto w niedawno uformowane twarzyczki.

Więc jedne, spokojniejsze, milcząc przypatrują się procederowi bezcelnych bab, inne jawnie i z krzykiem wyrażają swój protest. Obie metody są jednakowo nieskuteczne.

Bezczelność ludzka i nieuczuciwość, egoizm i lekceważenie bliźnich rozrosły się do nieznanych przedtem rozmiarów. Człowiek udający, że nie dostrzega za sobą stu osób, które przyszły wcześniej, człowiek „nie

słyszający” głosów protestu i wdający się w spokojną rozmowę z przy-jacielem z kolejkki, który „człowieka” wpuścił, człowiek... człowiek... człowiek... Doprawdy nieraz mam wrażenie, że ludzie stworzeni są po to aby sobie wzajemnie zatrąwać krótki, a niepewny końca, żywot.

Mamy dziś w kraju trudną sytuację, zaopatrzenie szwankuje i na razie nie możemy sobie obiecywać że za dwa miesiące wszystko się poprawi. A mimo to nie widać jakiegokolwiek poprawy w zachowaniu się obywateli i obywaterek w kolejkach. Specjalnie dużo chamstwa i bezwzględności daje się zauważyć w sklepach Delikatessów i Galluksów w dniach sprzedaży towarów atrakcyjnych. Tyle razy wiedziałem, że nadeszły jakieś płaszczki mięsne, jakieś dobre koszule, jakieś cytryny — i zawsze

(Ciąg dalszy na str. 8)

MICHAŁ SIEDLECKI WSPOMNIENIA

Michał Siedlecki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego wybitny przyrodnik i badacz morza, autor żywo i barwnie napisanych książek „Jawa. Przyroda i sztuka“, „Opowieści malajskie“, „Głębiny“, „Skarby wód“, urodzony w roku 1873 zmarł w hitlerowskim obozie w Sachsenhausen w r. 1940.

Tekst poniższy znaleziono wśród rękopisów prof. Siedleckiego i rodzina profesora udostępniła go redakcji „Zdarzeń“.

Wyspiańskiego poznałem pierwszy raz w czasach, kiedy malował kościół Panny Marii w Krakowie. Krótkie to były chwile znajomości, a utkwiała mi tylko w pamięci jasna, rudawo-blond głowa i niesłychanie bystre oczy. Później zbliżyłem się z nim w dość dziwnych okolicznościach. Do jakiegoś studium potrzeba mu było głowy orla i innych ptaków drapieżnych. Przyszedł więc do Zakładu Zoologii, którym wówczas kierował ś.p. prof. Wierzejski i otrzymał pozwolenie robienia studiów w Muzeum Zoologicznym, a w zamian za to wyrysował piękną tablicę, przed-

SZTUKA

stawiającą podział komórki. Tablica ta, rysowana pastelami, znajduje się do dziś dnia w Zakładzie Zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pamiętam dobrze, jak zachwycał się niezmiernie dekoracyjną formą, jaką przyjmują różne części komórki w barwionych preparatach w chwili podziału. Ptaki odrysoвывał z niesłychanym zamiłowaniem i doskonałym poczuciem formy tak, że kilkoma liniami umiał uchwycić charakter danego gatunku zwierzęcia tak doskonale, iż nie pozostawało wątpliwości, z jakim ptakiem mamy do czynienia. Miał on widocznie w sobie ten wyborny zmysł obserwacyjny, jaki charakteryzował artystów rysujących liniami różne zwierzęta na pomnikach egipskich.

Nieco później spotkałem się z nim w domu pp. Sewerów Maciejowskich, gdzie gromadziła się wówczas cała brać literacka i artystyczna krakowska. Bywało tam nieraz gwaro i ruchliwie, toczyły się żywe rozmowy i dyskusje. Wyspiański siedział zawsze cicho i spokojnie, bardzo często zaszyty w kącie pokoju, słuchający jednak bardzo uważnie i pamiętający dyskusje doskonale. Bardzo często uśmiechał się, trochę może ironicznie i widocznie notował sobie w pamięci to, co słyszał.

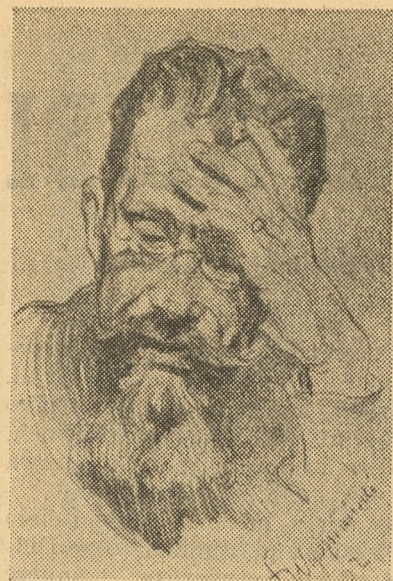
Dopiero kiedy przeważna część gości rozeszła się i salonik państwa Sewerów opustoszał, albo też w chwili, kiedy znajdowała się tylko bardzo nieliczna garstka ludzi, Wyspiański rozkrochmalał się i zaczynał mówić. Niedługo to zwykle jednak trwało, czasem snuł swoje projekty literackie lub malarskie, a czasem dyskutował na jakiś temat ogólny. Zwykle jednak był milczący i nie należał do tak zwanych zabawnych towarzyszy. Często wychodziłem z nim razem i odprowadzałem go do domu. Jakiś czas mieszkał on w sąsiedztwie kościoła Mariackiego — później przeprowadził się na ulicę Krowoderską, na sam jej koniec, skąd był piękny widok na Kopiec Kościuszki, krzaki i nieużytki, będące wówczas jeszcze między ul. Wolską a Krowodrzą. Mieszkanie jego było bardzo oryginalne. Mieściło się w domu, zamieszkałym przeważnie przez bardzo biedną ludność. Pracownicy stanowiący duży pokój, oświetlony kilku oknami, pomalowany na kolor ciemno-błękitny. Później wstawił Wyspiański do tego pokoju niektóre meble zrobione dla teatru podczas przedstawienia „Bolesława Śmiałego“. Duży, czerwono obity fotel stał koło długiego stołu. Na jednej ze ścian był rozpięty jego cudowny obraz pastelami malowany, niestety bardzo podniszczony, przedstawiający Sezam, parę szafek z książkami, kilka gipsowych odlewów dzieł jego ojca, rzeźbiarza i parę prostych stołków o bok sztalug i porozrzucanych materiałów malarskich. To było wszystko, co mieściło się w pokoju stanowiącym pracownię. Wyspiański siedział zawsze poza dużym stołem, zarzuconym mnóstwem papierów. Często na tym stole stały kwiaty w wazoniku, przeważnie polne. Wyspiański bardzo lubił polne kwiaty. Nieraz z wycieczek podkrakowskich przynosił mi jakieś okazy a Wyspiański wkładał je do wazonika, ale nigdy potem wody nie zmieniał i kwiaty powoli schły. Zeschłe trzymał długi czas i nieraz pokazywał mi, jaki urok mają te szczątki kwiatów. Kilka miesięcy stała u niego zeschnięta lilia zawojek, przyniesiona z Panińskich Skał, a Wyspiań-

ski ciągle patrzył na kontury tego kwiatu i nieraz mówił mi, że on brał nowego ducha po śmierci.

Dalsze pokoje były fantastycznie pomalowane, jeden koloru cytrynowego, drugi o dosyć zjadliwym różowym tonie. Kiedy się przechodziło z tych kolorowych pokoi do jego pracowni, wzrok gubił się w błękitnej atmosferze, jaką dawały ściany. Siadywaliśmy nieraz długie godziny rozmawiając na najrozmaitsze tematy. Często Wyspiański czy-

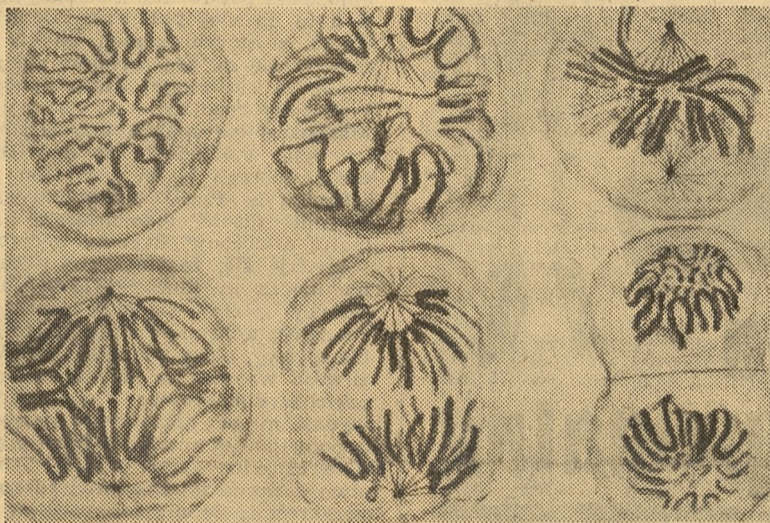
O WYSPIAŃSKIM

tał wyjątki ze swych utworów, albo opowiadał o projektach literackich lub malarskich. Wspominaliśmy też czasy pobytu w Paryżu, gdzie Wyspiański mieszkał i żył w okolicy, w której i ja później mieszkałem. Stoił w Paryżu w bardzo dziwnym lokalu. Była to mała restauracyjka nosząca nazwę „Au purée artistique“. Szyldy tej „crémérie“ były malowane przez dwóch znakomitych artystów: Polaka Siewińskiego i Czecha Muchę. Wew-



Stanisław Wyspiański: Portret prof. Michała Siedleckiego (rysunek 1903).

natrz sali, a raczej maleńkiej salki, stanowiącej jedyny przybytek w tej restauracji, ściany zawieszono był obrazami pierwszorzędnej wartości. Były tam obrazy Podkowińskiego, Chelmońskiego, Siewińskiego, a także i portret właścicielki, wybornie rysowany pastelami przez Wyspiańskiego. Właścicielką była duża, o potężnej strukturze Alzatka, która w wielkiej przyjaźni żyła swego czasu z Wyspiańskim i bardzo lubiła Siewińskiego i innych polskich



Stanisław Wyspiański: Tablica wykonana dla Zakładu Zoologii U. J. przedstawiająca podział komórki (pastel). Reprodukcja: Otto Link

malarzy. Tam przez długi czas stawała się cała gromada Polaków; a prócz tego o ten lokal opierali się Skandynawowie i to nie byle jacy, bo Strindberg, a z malarzy Munch. Wyspiański nie ograniczył się do tego, że namalował portret właścicielki, ale na podwórzu domu, na ogromnej ścianie, mającej co najmniej z 10 m długości, wymalował wielki obraz przedstawiający Ogrod Łuksemburski.

Wspólne znajomości i podobny bieg myśli pozwoliły nam nieraz na bardzo miłą wymianę zdań. Wyspiański był dosyć trudny w dyskusji. Czasami tak niespodziewane argumenty wysuwał, albo też tak uparcie trzymał się swej idei, że dyskusja stawała się niemal niemożliwa. Przypominam sobie także, jak raz czytał ustęp ze swego najnowszego utworu przy mnie i jeszcze przy drugim znajomym, który, po wysłuchaniu tego fragmentu, pozwolił sobie na kilka uwag. Wyspiański wysłuchał wszystkich bardzo chętnie, a kiedy później nasz znajomy odszedł, od razu pozmiął w przeczytanym fragmencie wszystkie szczegóły tak, aby tekst wyglądał wprost przeciwnie, niż tego sobie życzył krytykujący przyjaciel.

Mimo to, że Wyspiański nie był rozmowny w towarzystwie, jednakowoż lubił przebywać pomiędzy ludźmi, i to ludźmi różnego typu. Obserwował niesłychanie bystro, chwycił słabe strony ludzkie doskonale, a potem nieraz używał swoich sposobów jako materiału podczas twórczej pracy. Byłem z nim razem u jednych państwa w okolicy Krakowa na wsi, gdzie był piękny park i stary dwór, a gospodarz domu był typem średnio zamożnego szlachcica. Wyspiański obserwował go niesłychanie skrupulatnie. Szlachcic, wiedząc, że gości u siebie poe, rozgadał się, opowiadał różne dawne dzieje i legendy, związane ze wsią, i snuł różne uwagi polityczne, zresztą wcale nie głębokie. Z tego szlachcica wziął Wyspiański wzór do postaci szlachetki w „Wyzwoleniu“. Tak samo też scenę z „Wyzwolenia“, w której stary aktor mówi o wieńcu laurowym, wziął żywcem z opowiadania ś.p. Stępowskiego, który przeżył tę właśnie scenę. Wiele innych postaci brał Wyspiański z zaobserwowanych przez siebie typów ludzkich.

Tak samo też dostawały się do utworów Wyspiańskiego różne zdarczenia, które przeżył, lub o których słyszał. Scena w „Wyzwoleniu“ kończąca II akt i rozmowy z maskami, podczas której odsłania się widok na sypialnię, w której matka koło choinki kołysze dziecko, była żywcem wzięta z prawdziwego zdarze-

(Dokończenie na str. 7)

CYBERNETYKA

Dziwna nazwa — dziwna nauka

RÓŻNE MASZYNY MATEMATYCZNE

Nasz przykład dodawania elektrycznego był przeprowadzony na maszynie przekątnikowej. Przekątnik elektromagnetyczny, gdzie kółeczka wykonuje wprawdzie bardzo drobny, ale przecież ruch „mechaniczny“, pracuje powolniej, niż lampa elektronowa, gdzie impuls idzie na siatkę i błyskawicznie wywołuje w obwodzie „anodowym“ odpowiednią reakcję. Nie ma tu tedy żadnego „ruchu“ mechanizmu, a jedynie ruch elektronów.

Dlatego maszyny elektronowe wykonują wszystkie działania rachunkowe znacznie prędzej, niż inne maszyny matematyczne. Można powiedzieć, że debiut maszyn elektronowych tak jak i energii atomowej odbył się i był ściśle związany z ostatnią wojną. Pierwszą niewielką maszyną amerykańską „Bessie“ umożliwiła na czas zbudowanie pierwszych bomb atomowych, które padły na Hiroszimę i Nagasaki.

W roku 1946 został uruchomiony kolos „Eniac“, ważący kilkadziesiąt ton i zawierający 18 000 lamp elektronowych. Maszyna ta pracowała w całości na systemie dziesiętnym. Następne typy dostosowane do systemu dwójkowego, są już mniej skomplikowane i lżejsze, oraz zawierają mniejsze ilości lamp, jak to pokazuje poniższa tabelka:

Nazwa	rok	ilość lamp	liczb w pa-mięci	ilość ope-racji na sek.
Eniac	1946	18 000	20	200
Edvac	1950	3 500	1 024	300
Whirlwind	1950	5 000	2 048	20 000
IBM 701	1952	4 000	2 048	2 000
BESM	1953	7 000	1 024	średnio 8 000

Radziecka maszyna BESM była niedawno użyta do tłumaczenia tekstów rosyjskich na angielskie i odwrotnie. Jest to swego rodzaju „cud“ cybernetyki: maszynista pisze na maszynie tekst angielski, zresztą zupełnie go nie rozumiejąc, a z drugiej strony z maszyny wychodzi tekst rosyjski.

Oczywiście do takiej operacji trzeba było opracować specjalny słownik, w którym każdemu słowu, odmianom, końcówkom, regułom gramatycznym itp. odpowiadają umówione liczby w układzie dwójkowym. Niestety brak tu miejsca na przedstawienie sposobu pracy elektronowego tłumacza.

Za pomocą maszyny BESM można rozwiązywać zadania szachowe. Oczywiście trzeba znów z góry opracować odpowiedni „kod“ liczbowy. Fakt jest, że jak mówi prof. Lebie-diew, twórca tej maszyny, po zada-

niu jej pytania, jak rozwiązać dwuchodówkę (końcówkę z matem po drugim ruchu), maszyna po pięciu minutach elektronowego „myślenia“ dała poprawny wynik, który zadającym pytanie w ogóle nie był znany.

Powyżej omawiane maszyny rachunkowe są maszynami „liczbowymi“ t. zn. przyjmują do rozwiązania zadania rachunkowe cyfrowe.

Istnieją ponadto maszyny elektroniczne „analityczne“, jak np. polska maszyna ARR (500 lamp) w Instytucie Matematycznym w Warszawie,

które rozwiązują np. równania różniczkowe (z wyższej matematyki), przy czym wyniki są pokazywane na ekranie lampy oscyloskopowej w postaci odpowiedniej krzywej linii (wykresu).

Obecnie na świecie pracuje już kilkaset maszyn rachunkowych większych, z tego około 150 w Stanach Zjednoczonych, gdzie maszyny takie po raz pierwszy przysły na świat. 30 firm zajmuje się tam budową takich maszyn.

ROBOT ZABIJA SWEGO TWORCĘ

Niedawno odbyła się w Rzymie międzynarodowa wystawa poświęcona osiągnięciom nowoczesnej elektroniki. Powszechną uwagę zwracał tam „robot“, czyli automat zbudowany „na kształt i podobieństwo“ człowieka. Anatol, jak mu było na imię, miał wzrostu dwa metry a ważył blisko dwa cetnary. Odpowiadał na jakiś dziesiątek pytań (zresztą z góry ustalonych), podawał na żądanie godzinę, wykonywał proste działania rachunkowe. Chodził, kłaniał się i witał, wyciągając rękę.

Czynności powyższe wykonywał Anatol na rozkaz radiowy, otrzymywany za pomocą fal radiowych od siedzącego w pobliżu „dyspozytora ruchu“, czyli normalnego, nie-automatycznego człowieka.

Podobny robot był swego czasu wystawiony w Chicago. Widzowie przeżywali nie lada emocję, oglądając „homunculusa“, który parę dni przed otwarciem wystawy zabił swego twórcę. W chwili ekspedowania eksponatu na wystawę, inżynier, który zbudował robota, zauważył w mechanizmie jakąś obłuzowaną śrubkę. Podszedł więc do robota i zaczął ją przykręcać. Ta niewinna czynność musiała wywołać jakiś nieprzewidziany impuls elektryczny, który spowodował, iż robot uniósł nagle swe stalowe ramie i opuszczył je na dół, uderzając swego konstruktora w głowę ze śmiertelnym wynikiem.

Ten makabryczny przypadek nie powstrzymuje innych konstruktorów od obmyślenia coraz to bardziej

skomplikowanych mechanizmów elektronowych, których bardzo efektywnym przedstawicielem jest właśnie sztuczny człowiek czyli rodzaj „homunculusa“, o jakim marzyli średniowieczni czarodzieje i magicy.

Legenda powiada, że w roku 1580 rabin Löw ben Bezalel w Pradze miał ulepić sztucznego człowieka z gliny i ożywić go swą cudotwórczą mocą. Homunculus ten zwany po hebrajsku „Golem“ straszyl później dobrodusznych mieszkańców średniowiecznej Pragi. Być może dzięki tradycji Golema, nowocześni sztuczni ludzie noszą międzynarodowe miano, „robotów“, pochodzące z czeskiego źródłosłowu.

CUDA CYBERNETYKI I JEJ GRANICE

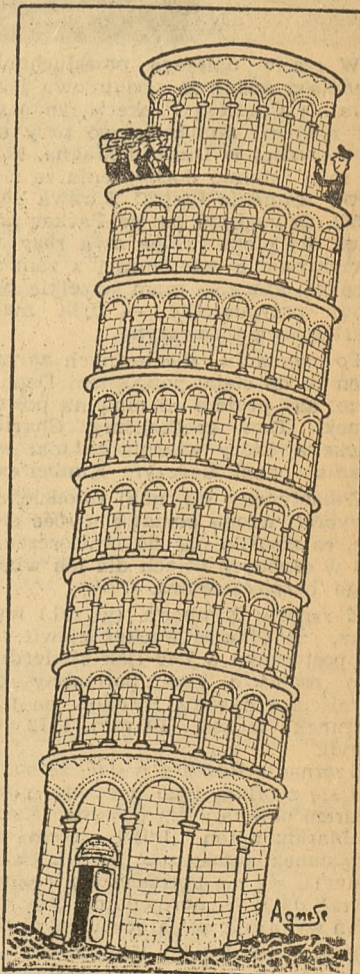
Roboty, maszyny rachunkowe, automatyzacja fabryk, teletsterowanie samolotów i rakiet, elektryczne tłumaczenie obcych języków, mysz w labiryncie i sto innych różnych więcej i mniej ważnych zastosowań nowoczesnej elektroniki w oparciu o zasady cybernetyki, tworzy ogromny repertuar nowoczesnych „cudów“, nieraz bardziej fantastycznych w swej realizacji, niż opowieści z „Tysiąca i jednej nocy“.

Toteż wśród pewnych wyznawców cybernetyki szerzy się bezkrytyczne przekonanie, że jest rzeczą możliwą zbudować naprawdę automatycznego człowieka, który będzie myślał, czuł, mówił itp. oraz posiadał własną wolę. Wszystko, jak sądzą tacy entuzjaści, zależy tylko od odpowiedniej ilości coraz to lepszych lamp elektronowych, tranzystorów, kondensatorów itp. podobnych urządzeń nowoczesnej techniki.

Niewątpliwie rozwój cybernetyki wskazuje na to, że trudno jest dziś przewidzieć wszystkie jej możliwości. To jednakże można stwierdzić bez wahania, że żaden, nawet najbardziej elektronowy mechanizm nie zastąpi organizmu ludzkiego, zbudowanego z żywej materii i zdolnego do samodzielnego rozwoju umysłowego.

EUSTACHY BIAŁOBORSKI

Humor zagraniczny



PODWOJNE ALIBI

(Raport sierżanta policji kryminalnej Porteous'a)

Do Szefa Policji.

SIR.

Dnia 10 bm. o godz. 7.31 wieczorem posterunek nasz otrzymał telefoniczną wiadomość o zamordowaniu dziewczyny na ul. Parafialnej w Didford Parva. Wzywający przedstawił się jako John Dennison — znany mi już zresztą ze sądu dla nieletnich, gdzie miał rozprawę za napad i kradzież (patrz: Sprawa 892/1955).

Przybyłem o 7.38 pod wskazany adres, gdzie znalazłem ciało Phyllis Barking, lat 18, zamieszkałej na pl. Jubileuszu w Didford Parva. Świadectwo lekarskie (w zał.) stwierdza, że śmierć nastąpiła na skutek rany zadanej nożem o długim ostrzu.

Prawie natychmiast po moim przybyciu nadszedł od strony budki telefonicznej (odległej o ok. 150 m) John Dennison. Był bardzo podniecony.

Poinformował mnie, że tego wieczora umówił się z ofiarą na konkurs tańca do Markhampton. Szli razem na przystanek przy ul. Parafialnej, aby złapać autobus o 7.40, gdy jakiś mężczyzna, którego nie mógł w ciemności zidentyfikować, wyskoczył za nimi z krzaków okalających ul. Parafialną, uderzył od tyłu jego towarzyszkę i natychmiast uciekł.



nowela
kryminalna

plam na nożu, to wyjaśnił je skaleczeniem się przy czyszczeniu go. I rzeczywiście miał na prawym kciuku ledwo zagojone przecięcie. Plam z krwi na ubraniu, pochodzącym również z magazynu „Teddy boy”, nie znaleziono.

Analiza laboratoryjna (w zał.) wykazała, że wszystkie znalezione plamy z krwi należą do grupy O, że krew tej grupy mają i ofiara i Packer, a krew Dennisona należy do grupy AB.

Rano dnia 11 bm. wróciłem na ul. Parafialną i zbadałem teren. Ponieważ ulica była błotnista, można było rozróżnić ślady stóp mężczyzny i kobiety kierujące się w stronę miejsca zbrodni. Znalazłem także ślady męskiego obuwia prowadzące z przeciwnej strony ulicy do krzaków rosnących w pobliżu miejsca zbrodni (fotografia w zał.). W tym miejscu ślady mieszają się ze śladami idącej pary, moimi i innych policjantów.

Zbadałem obuwie na nogach zmarłej i z zadowoleniem stwierdziłem, że zgadza się ono z kobiecymi śladami na ulicy. Następnie zbadałem buty obu mężczyzn i uderzyło mnie od razu, że są zupełnie podobne do siebie — brązowe, skórzane, tanie półbuty nr 10, na gumowej podszewce.

Badania wykazały, że obaj podejrzani zakupili je przed kilku dniami w tym samym sklepie w Markhampton. Obie pary były identycznie zabłocone i — nie trzeba dodawać — każda z nich odpowiadała jednemu i drugiemu śladom męskim.

W dalszym ciągu śledztwa przesłuchałem matkę i siostrę zamordowanej. Pierwsza z nich nie potrafiła rzucić żadnego światła na życie swej córki, natomiast siostra powiedziała mi, że chodziła ona z obu chłopcami bez różnicy i że obaj mieli o to do niej pretensje. Nie wiedziała, z którym z nich Phyllis umówiła się na ten wieczór, ale zeznała, że siostra jej lubiła tańczyć i chodziła regularnie na zabawy w Markhampton. Dodała też, że Phyllis była wielbiczką Dwight Bidle'a, którego najnowszy film pt. „Passion in Paris” zaczynał grać w kinie „Kair” tego właśnie dnia (patrz załączony „Evening Record”).

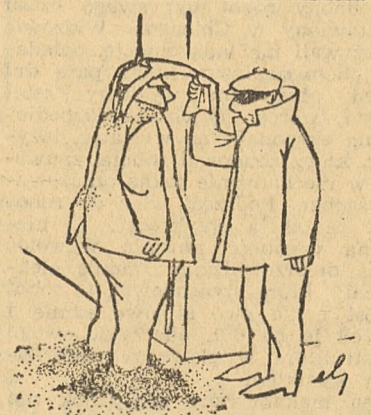
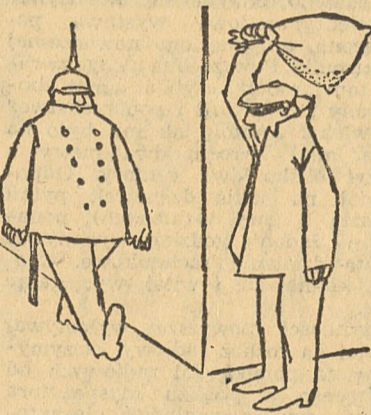
Wydaje się, że śledztwo utknęło na martwym punkcie. Obaj młodzieńcy upierają się przy swych zeznaniach, a ja nie potrafię zdać sobie sprawy, który z nich kłamie. Możliwość wyjścia na światło dzienne jakichś dodatkowych okoliczności wydaje mi się raczej mało prawdopodobna, a chociaż jest prawie pewne, że jeden z nich popełnił zabójstwo z premedytacją, stwierdzam z przykrością, że nie ma podstaw do zastosowania w tym przypadku aresztu.

Z poważaniem

J. D. Porteous
Sierż. Pol. Krym.”

Jak sędziacie Czytelnicy kto jest przestępcą — Dennison czy Packer. Jeżeli sami nie potraficie tego stwierdzić to...

Rozwiązanie zagadki kryminalnej znajdziecie Czytelnicy na str. 9-tej.



O konkursach muzycznych w Brazylii i Portugalii

HENRYK SZTOMPKA

— W jakim charakterze odwiedził Pan, Panie profesorze, Rio de Janeiro?

— Mój pobyt w Brazylii i Portugalii związany był ze zorganizowanymi tam międzynarodowymi konkursami muzycznymi. Tak w jednym jak i drugim wypadku zaproszony byłem jako członek jury konkursu.

Wydaje mi się, że żyjemy w okresie konkursów, które stanowią doskonałą okazję do wymiany kulturalnej i przypomnienia o własnym dorobku kulturalnym. Do takiego wniosku doszedłem dzięki uczestnictwu w charakterze członka jury zarówno w naszych konkursach chopinowskich, jak i w konkursach Margerit Long Jaques Thibaut w Paryżu w latach 1953 i 55. Konkursy muzyczne w Rio de Janeiro oraz w Lizbonie utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

Konkurs w Rio de Janeiro zorganizowany został właściwie pod znakiem Chopina, ponieważ dwa pierwsze etapy konkursu wypełnione były wyłącznie jego utworami. Dopiero trzeci etap obejmował szeroki wachlarz kompozycji. Taki chopinowski charakter konkursu uzasadniony był powszechnie znanym, niemal narodowym kultem Brazylijczyków dla muzyki Chopina.

Jedynym polskim pianistą na konkursie był Edwin Kowalik, który zaprezentował się wspaniale. Znalazł się w klasyfikacji ogólnej pod koniec II etapu na drugim miejscu. Na skutek przebytej w czasie konkursu choroby, zajął jednak ostatecznie szóste miejsce (na 10 miejsc), które również należy uznać za sukces mając na uwadze wysoki poziom konkursu.

— Czy polskie wydawnictwa muzyczne, muzyka polska oraz nasza otwartość artystyczna znane są w Brazylii?

— Nasi artyści (wyjątek — Halina Czerny-Stefańska) nie docierają tutaj tak samo, jak nie dotarła tu jeszcze nasza muzyka symfoniczna. Polskich wydawnictw muzycznych w księgarniach nie ma. Z niezrozumiałych dla nas powodów taśmy z nagraniami polskiej muzyki symfonicznej leżą i psują się w kraju, chociaż za granicą są bardzo poszukiwane.

Wśród muzyków (szczególnie skrzypków i pianistów) znana i ceniona jest twórczość Karola Szymanowskiego. O współczesnej muzyce polskiej nie wiedzą nic.

Tę dotkliwą lukę usiłowałem bodaj częściowo wypełnić przez udzielenie trzem poczytnym dziennikom wywiadów na temat współczesnej muzyki polskiej, zorganizowanie dwóch recitali i dokonanie nagrań dwunastu mazurków Chopina.

Wydaje mi się, że nie wyzyskujemy należycie olbrzymiego zainteresowania Polską (nie tylko w Brazylii), a udzielane przez nas informacje o własnym dorobku kulturalnym nie są proporcjonalne do zainteresowań i sympatii jakie posiadamy w świecie.

— Kto był inicjatorem konkursu w Rio de Janeiro?

— Proszę sobie wyobrazić, że Polak. Znany i ceniony tam pianista oraz dyrygent Aleksander Sienkiewicz, były wychowanek Konserwatorium Warszawskiego i były uczeń Ignacego Paderewskiego. Uzyskał on poparcie prezydenta Kubiśki, a dzięki zorganizowaniu konkursu cieszącego się olbrzymim powodze-

niem — zyskał wysokie uznanie i popularność tak u władz argentyńskich jak i społeczeństwa.

— Jak się Panu podobało Rio de Janeiro?

— To wspaniałe miasto o niespotykanym przepychu cywilizacyjnym przewyższającym być może nawet USA. Nie znaczy to jednak, że jest ono pozbawione dzielnic nędzarzy murzyńskich istniejących jak gdyby dla podkreślenia kontrastu i dysproporcji gospodarczych w społeczeństwie brazylijskim. Podzwrotnikowy jednak klimat, zawrotne tempo życia, temperament Brazylijczyków, tysiące samochodów uży-



wających klaksony — wszystko to nie na skołatane nerwy Europejczyka.

— A jak było w Portugalii?

— Zostałem zaproszony do Lizbony również w charakterze członka jury I-ego Międzynarodowego Konkursu Muzycznego w Portugalii. Organizatorem Konkursu był znakomity pianista Sequiera Costa, który we własnym imieniu ufundował nagrodę jak najlepsze wrazenie. Dlatego zainteresowanie naszymi dziejami współczesnymi jest bardzo duże. Niestety, i tutaj nasza informacja nie dociera. Wszystko co wiedzą o Polsce pochodzi ze źródeł zachodnich.

Jak wiadomo, z Portugaliją nie łączą nas stosunki dyplomatyczne i dlatego mój pobyt stanowi pierwszy krok w zakresie nawiazania stosunków kulturalnych z tym krajem.

W kraju tym cieszą się Polacy ogromną sympatią. Rzesze emigrantów polskich, które przewinęły się przez Portugaliją zostawiły po sobie jak najlepsze wrazenie. Dlatego zainteresowanie naszymi dziejami współczesnymi jest bardzo duże. Niestety, i tutaj nasza informacja nie dociera. Wszystko co wiedzą o Polsce pochodzi ze źródeł zachodnich.

— Jak fachowcy oceniają nasze konkursy chopinowskie na tle konkursów zagranicznych?

— Konkursy chopinowskie organizowane w Polsce cieszą się za granicą jak największym uznaniem. Liczni fachowcy stawiają je jako wzór na pierwszym miejscu.

— Czy spotkał się Pan z muzykami — Polakami przebywającymi stale za granicą?

— Oczywiście. Spotkałem się z Rubinsteinem, Małcużyńskim oraz światowym skrzypkiem Henrykiem Szingiem. Wszyscy pragną odwiedzić Polskę. Artur Rubinstein przybędzie w maju 1958 roku do Polski. Przyjął on również stanowisko honorowego przewodniczącego jury konkursu im. Chopina, który zostanie zorganizowany w roku 1960 — w 150 rocznicę urodzin Fryderyka Chopina.

Rozmowę przeprowadził:

MIKOŁAJ KUPLOWSKI

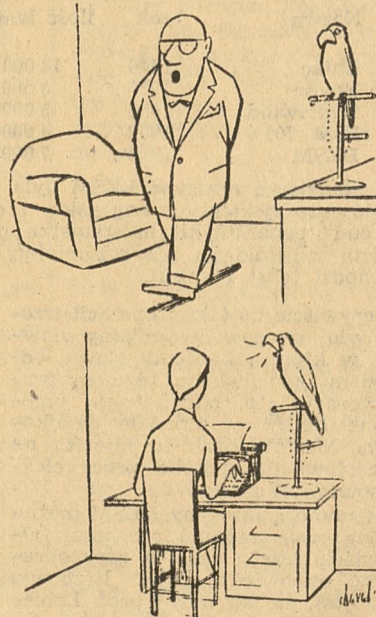
♦ PŁOTKI ♦

ZA PÓZNO

Etнолог z Muzeum Człowieka przybywa do wioski afrykańskiej i prosi naczelnika jakiegoś nieznanego plemienia o pokazanie mu ludożerców. „Za późno — odpowiedział zapytany — wczoraj zjedliśmy ostatniego”.

NAWIGACJA

Aktor francuski Pierre Fresnay opowiada: na szkolnym statku w czasie ćwiczeń na Morzu Śródziemnym admirał każe młodemu aspirantowi określić położenie statku. Po wielu wahaniach młody oficer podaje mu wyniki swych obliczeń. Po sprawdzeniu ich admirał mówi: „Młodzieńcze, proszę odkryć głowę. Wg pańskich obliczeń przepływamy teraz przez sam środek katedry w Chartres”.



KIEDY NIEMCY DOGORYWAŁY

FRAGMENTY SŁYNEJ KSIĄZKI (VII)

Począwszy od stycznia 1945 front niemiecki trząska pod uderzeniem armii radzieckiej. Hitler oprowadzany historią, przechodząc w ataki szaleńczej furii, wymusza wykonywanie operacji pozbawionych wszelkiej logiki i sensu, co przypięca Niemcy stratami idącymi w miliony istnień ludzkich. Tymczasem armia radziecka rozpoczyna nad Odrą dalszą ofensywę.

Panowały jeszcze całkowite ciemności, gdy o brzasku dnia 16 kwietnia dwadzieścia dwa tysiące sowieckich gardzieli armatnich nad Odrą wyrzuciło huragany pocisków, a taka sama ilość armat zagrzmięła nad Nysą.

Wsie, dwory i zagrody w dolinie Odry stanęły w płomieniach. Promienie wschodzącego słońca z trudem tylko zdołały przebić się poprzez dymy pożarów, pokrywające szerokie przestrzenie przedpola. Daleko na zapleczu frontu dygotały budynki od ciśnienia spowodowanego detonacjami granatów. Powietrze drżało od huku motorów lotniczych rosyjskich Tłumy zaskoczonych uciekinierów przepychały przez gardła wąskich uliczek i dróżek polnych swoje przeladowane wozy, wózki ręczne, rowery, wózki dziecięce, a nawet taczki.

Tego samego dnia wydał Hitler rozkaz wystylizowany przez Goebbelsa, zapowiadający wykrwawienie armii radzieckiej i „natychmiastowe unicestwienie, bez względu na stopień i stanowisko, każdego, kto wyda rozkaz do odwrotu”. Rozkazami nie można było jednak Rosjan powstrzymać. Totż dnia 19 kwietnia ogłoszono w Berlinie pierwszy alarm pancerny, a w dniu następnym pierwszy granat artylerii sowieckiej uderzył w centrum miasta...

Dnia 20 kwietnia obchodził Hitler smutną tym razem dla niego pięćdziesiątą siódmą rocznicę urodzin. Po raz pierwszy generałowie Krebs, Jodl i Keitel odważyli się wyznać mu oględnie, że wkrótce Berlin zostanie otoczony. Wszyscy nalegali, by opuścić Berlin zanim będzie za późno. Sprzeciwiał się temu jedynie Goebbels i sam Hitler, który wierzył, że jeśli pozostanie w stolicy, jego wola oddziała na armię do tego stopnia, że front zostanie zrekonstruowany. Führer wyraził natychmiast zgodę, by Himmler przeniósł się na północ a Goering do Berchtesgaden. Sam, choć zupełnie złamany fizycznie i nerwowo, śleczął nad mapami wydając rozkazy, zwykle fantasmagoryczne, bo skierowane do oddziałów istniejących najczęściej już tylko na papierze — urojonych.

Takim papierowym fantomem była grupa operacyjna SS-Gruppenführera Steinera, której uderzenie, mające nastąpić dnia 21 IV miało „zagwarantować” utrzymanie Odry. Kiedy nadeszło południe dnia 22, Hitler oczekujący na próżno, w stanie niezwykle napięcia, od kilku dziesięciu godzin wiadomości o naturcie, przestał panować nad sobą. Nie uświadomił sobie, bo nie chciał, żyjąc w świecie oderwanym od rzeczywistości, że uderzenie Steinera

(Dokończenie ze str. 5)
nia. Wyspiański pisząc te rozmowy, spojrzawszy przez drzwi do sąsiedniego pokoju i zobaczył taką właśnie scenę. Żona jego, ubrana w bogaty strój krakowski, klekała przy kółkach i śpiewała cichym głosem ja-

WSPOMNIENIA O WYSPIAŃSKIM

kąs kolędę, a obok stała choinka z zapalonymi świecami. Wyspiański widział w tym symbol ogniska domowego.

Nie tylko tę jedną scenę zawdzięczał Wyspiański swojej żonie. Wszyscy wiedzą dobrze, że żona jego była to prosta wiejska kobieta bez wykształcenia. Duża, mocno zbudowana, lubiąca się pięknie po krakowsku wystroić, robiła wrażenie ogólne mocnej baby wiejskiej. Nie raz słyszałem, jak ludzie z podziwem wyrażali się o tym, że Wy-

nastąpić nie może z powodu braku sił.

Na zarządzanej odprawie sytuacyjnej postawił Führer pytanie: „Chcę wiedzieć, co dzieje się ze Steinerem?” — dowiedział się wówczas całej prawdy.

Przez chwilę zaniemógł, wodząc wzrokiem od Jodla do Keitla, od Keitla do Krebsa. Twarz jego nabiegła krwią. Nagle polecił, by wszyscy — za wyjątkiem Bormanna, Burgdorfa, Keitla, Jodla, Krebsa i dwu stenografów — opuścili salę. Wezwani wyszli wstrzymując oddech, w przeczuciu niezwykłych wydarzeń. A kiedy w napięciu rozważali, co może nastąpić, usłyszeli nagle głos Hitlera — donośny, niepoohamowany, nabrzmiały tonem boleśnie płaczącym, na którego dźwięk krew zbiegła im do serca, a kobiety zadrżały.

Hitler oprowadzany napałem dzikiej wściekłości wyrzucił potoki słów przeważnie niezrozumiałych. Wszyscy jednak zrozumieli, kiedy krzyżując pytał kim jest on tutaj jeszcze, skoro każdy może go zwodzić, oszukiwać i podstępnie wyprowadzać w pole. Nie ma oficera w armii, który by go nie okłamywał i nie ma nikogo, kto by go rozumiał... Nie padło jednak ani jedno słowo,

HISTORIA

w którym miałyby odwagę wyznać popełnione przez siebie pomyłki i straszliwe błędy. Szalał, zarzucając wszystkim, tylko nie sobie, winę, zdradę, tchórzostwo...

Ale atak szaleństwa, który tak nagłe poderwał śmiertelnie chore ciało Hitlera, odpiął także również szybko jak nadszedł. Führer zbladł, zwióztzał i opadłszy na krzesło zaniósł się niepoohamowanym płaczem. Podniósł następnie głowę i głosem przerywanym łkaniem, przepojonym i apatią, i znużeniem, i rozpaczą, oznajmił, że idea jego została zaprzeczona i zaprzędana. Pozostanie w Berlinie i tutaj umrze. Ze względów fizycznych nie może walczyć. Nie może jednak narazić się na niebezpieczeństwo wpadnięcia w ręce nieprzyjaciela w wypadku, gdyby został ranny — dlatego sam położy kres swemu życiu. Rozkazał wreszcie, by podać do wiadomości mieszkańców Berlina, że znajduje się wśród nich i pozostanie między nimi do ostatniego tchu.

Berlin miał kiedyś 4 miliony mieszkańców. W wyniku coraz cięższych bombardowań powietrznych ilość mieszkańców zmalała do dwu i pół miliona, ale napływający strumień uciekinierów ze wschodu podniósł tę cyfrę do trzech i pół miliona. Miasto było obecnie pogrążone w chaosie i desperacji. To, co działo się na ulicach, w domach i schronach, wywierało wstrząsające wrażenie nawet na tych, którzy od miesięcy byli świadkami narastających zniszczeń oraz upadku, obejmującego coraz szersze pole ginającej sto-

spiański, tak delikatny i łagodny, wziął sobie jako towarzyszkę, mocną, wielką kobietę, zupełnie odmiennego typu niż sam reprezentował. Trudno wdawać się w analizę psychologiczną tego faktu. Być może, że Wyspiański tak dalece sam dla

siebie stanowił środowisko i tak był mocny w swych myślach, że nie było mu potrzeba ani dzielenia się, ani też źródła myśli. Z drugiej strony trzeba jednak powiedzieć, że pani Wyspiańska umiała bardzo dużo pieśni ludowych i opowieści ludowych i zupełnie dobrze je opowiadała. Wyspiański nieraz słuchał jej całkiem nieładnego i nieuczynego, ale bardzo charakterystycznego głosu.

Przed wszystkim w Wyspiańskim przeważały pomysły malarskie. Pa-

J. THORWALD

licy. Nieustające bombardowanie z powietrza, trzaski detonujących pocisków artylerii sowieckiej w coraz to innych punktach, setki tysięcy uciekinierów ze wschodu, przewalających się przez główne arterie przelotowe, zabici, których nie zdążono usunąć z ulic, przepełnione rannymi szpitale i schrony, wreszcie cuchnące rozkładem ciała leżące od całych tygodni pod gruzami rumowisk — oto stan normalny ostatnich tygodni. Przy tym każdy gmach, budynek, mur obwieszony co dzień nowymi plakatami z apelami Hitlera, Goebbelsa, Naumanna, Kriegka, zapowiadającymi ostateczne zwycięstwo, wzywającymi do wytrwania, walki i wieszania „prowokatorów” zbrodniczych elementów szerczących panikę, tchórzów wywieszających białe chorągwie...

W godzinach południowych dnia 23 IV miasto zostało podzielone definitywnie na okręgi obronne i podporządkowane świeżo wyznaczonemu dowódcy — podpułkownikowi Bärenfängerowi mianowanemu w ciągu następnych kilku dni generałmajorom. Nikomu z mieszkańców nie wolno było opuszczać lub przybywać do miasta bez specjalnych przepustek. Specjalne patrole wyłapywały wszystkich mężczyzn od 14, a nawet od 12 lat życia, wcielając ich do tworzonych alarmowych jednostek obronnych. Kobiety spędzano na dworzec, zawalony setkami pociągów, do wyładowania amunicji. Inne oddziały, tzw. „Sperrkomandos”, czaiły się u wylotu miejskich arterii komunikacyjnych, odpędzając przy pomocy najbardziej brutalnych środków te jednostki wojskowe, które rozbite przez nieprzyjaciela usiłowały przedostać się do miasta. Na latarniach ulicznych zachybotali pierwsi wisielcy, podobnie jak nie dawno przedtem w Gdańsku, Królewcu i innych miastach wschodnich. Tabliczki przytwierdzone do ich ciał głosiły: „Wiszę tutaj, bo jestem defetystą”; „Wiszę tutaj, bo nie wienyłem w Führera”; „Wszyscy zdrajcy umrą tak, jak ten tutaj!”

Tymczasem Amerykanie osiągnęli już niemal na całej przestrzeni Łabę i budowali przyczółek pod Barby (ok. 120 km. w linii powietrznej na zachód od Berlina), a w dniu 25 kwietnia rozpoznawcze patrole 69 dywizji amerykańskiej spotkały się pod Torgau nad Łabą (ok. 150 km. na południe od Berlina) z 58 dywizją gwardii sowieckiej. Żadna siła nie była już w stanie obronić w tych warunkach Berlina. Kontynuowanie obrony było samobójstwem, ci zaś, którzy — jak Hitler, Goebbels, Bormann, Keitel, Jodl — w dalszym ciągu z maniackim uporem obronę tę wymuszali, byli pospolitymi zbrodniarzami.

W południe dnia 23 IV zjawił się w Berchtesgaden gen. lotnictwa Christian, który zrelacjonował Göringowi przebieg wypadków w kwarterze Hitlera. Usuwany w cień od r. 1943 na skutek niepowodzeń lotnictwa niemieckiego, Göring zorientował się, że nadarza mu się szansa ponownego wysunięcia się na czoło. Upewniwszy się zatem, że ustawa z czerwca 1941, na podstawie której miał być następcą Hitlera w razie jego śmierci, jest nadal w mocy, zdecydował się na wysłanie następującej depechy do Hitlera:

(Dalszy ciąg nastąpi)

miętam, jak troskliwie przygotowywał każdą scenę przed wystawieniem dramatów. Kiedy pewnego razu, będąc u niego, rozmawiałem o jego pomysłach do „Akropolis”, Wyspiański zaczął snuć fantazje, mówiąc, że chciałby kiedyś skom-

ponować taki dramat, w którym nie byłoby zupełnie aktorów. Scena przedstawiałaby katedrę lub też pałac, a raczej same tylko ściany i okna katedry lub pałacu, a w oknach byłyby witraże. Te witraże zmieniałyby się i grały same barwami i zmieniającymi się postaciami, tworzyły treść dramatu. Każdy obraz sceniczny, który Wyspiański komponował, widział najpierw wzrokiem duszy w skończonej formie. Malarz często wyprzedzał poetę w twórczości.



„Bosonoga contessa”

Hollywood w barwnym melodramacie pt. „Bosonoga contessa”, reżyserii Josepha L. Mankiewicza zrealizowanym przez wytwórnię „United Artists”.

Miejszem realizacji miasteczko filmowe „Cine Citta” pod Rzymem i plażę Morza Śródziemnego. Hollywood cierpi na chroniczny brak sław i gwiazdorów. Błyszczące jeszcze „wczoraj” na firmamentach ekranów amerykańskich światłem pierwszej klasy gwiazdy i gwiazdorzy uzupełniani być muszą nowymi efektownymi zjawiskami, a publiczność ośniewana i oszalamiana urodą czy talentem. Na poszukiwanie takich własnie talentów udali się do Europy dwaj amerykańscy biznesmeni filmowi, producent hollywoodzki Oscar Muldoon (Edmond O'Brien) i reżyser Harry Daves (Humphrey Bogart). Szczęście dopisało im wyjątkowo. W podróży w kierunku Madrytu trafili na uroczą i błyskotliwą śpiewaczkę hiszpańską, Marię Vargas (Ava Gardner), która po długich oporach zgodziła się na wyjazd do Hollywood. Stawszy się znakomitością ekranów, otoczona blischem przepychu, sławy i bogactwa, przebywa w najwytworniejszych towarzystwach podlegając ich niepisany prawom zawisł, pruderli i intryg. Jedynym oddanym jej przyjacielem jest reżyser Harry Daves, chroniący ją przed wielu przykrościami. Maria żyje i czuje w atmosferze zakłamanego Hollywoodu i wraca w końcu do Europy w towarzystwie południowo-amerykańskiego multimilionera, którego nie kocha i któ-

ry jest jej całkiem obojętny. W kłopotliwej sytuacji poznaje włoskiego arystokratę, hrabiego Fawzini (Rossano Brazzi), który zakochawszy się w pięknej Hiszpance, postanawia Marię poślubić. Maria odwzajemnia uczucie, opuszcza milionera i oddaje rękę hrabiemu, i tu początek dramatu. W noc poślubną okazuje się bowiem, że hrabia nie może spełnić swych obowiązków małżeńskich. W sposób jak najbardziej czuły i delikatny powiadamia ukochaną Marię o powodach i mówi, że kocha ją może tylko „całym sercem”. Zakochana i zawiadziona Maria dzieli się doznany roz-



czarowaniem ze swym przyjacielem, reżyserem Davesem. Cierpi również i hrabia, nieszczęśliwy tym bardziej, gdyż zdaje sobie sprawę, iż na nim ród jego wygaśnie. Pragnienie potomstwa przez hrabiego i postanowienie Marii spotkała się ze swym kochankiem pogłębiają konflikt. W filmie „Bosonoga contessa”, stanowiącym ostrą satyrę na Hollywood i jego stosunki, zobaczymy przepiękną i doskonale grającą Avę Gardner, a w kreacjach męskich niezjącego już Humphreya Bogarta, Rossano Brazzi i laureata Nagrody Akademii Filmowej w Hollywood za najlepszą rolę drugoplanową w roku 1954 Edmonda O'Briena.



FAKTY ♦ PLOTKI ♦ FAKTY

AMOROSO

W lipcu br. opublikowano w Anglii 20 listów miłosnych G. B. Shawa adresowanych do pewnej pielęgniarzki, gdy miał on 27 lat. Romans trwał dwa lata. W ostatnim swym liście do Alice Lockett Shaw pisał: „Radością mego życia są muzyka, dyskusje, wymiana myśli z osobami o wyższej inteligencji niż moja. Wszystko to osładzają pocałunki, ale nie mogę ich przecież wymienić z 50 tysiącami osób”.

DZIECIACZKI

W Nowym Orleanie policja wezwwała panią Fahrenheit, aby ją zawiadomić, że jej dwaj synowie (17 i 18 lat) zostali przetrzymani i ukarani grzywną za to, że na środku mocno ruchliwej autostrady siedzieli z zawiązanymi oczyma. Tłumaczyli się oni, że chcieli przewyciężyć nudę życia. Pani Fahrenheit zaprotestowała przeciw karze twierdząc, że całe „nieporozumienie” polega na tym, że urzędnicy zapominają, że sami kiedyś byli młodzi.

AMATORZY

„Gazette de Lausanne” przeprowadziła ostrą kampanię prasową przeciw wzmagającemu się stale spożyciu psiego mięsa, któremu mieszkańcy francuskich kantonów Szwajcarii przypisują własności lecznicze i jedzą je pomimo, że władze, opierając się na motywach „turystrycznych”, wydały przed 3 laty zakaz jego konsumpcji.

SOLIDARNOSĆ

250 żywych nurek przysłali hodowcy francuscy swemu kolecy Armandowi Fabert, któremu jakaś tajemnicza choroba zabiła wszystkie hodowane zwierzątka.

BHP... ZNAMY, ZNAMY...

Dla zapobieżenia bardzo częstym we Francji wypadkom kolejowym (duża szybkość pociągów, drewniane wagony) opracowano system hamulców automatycznych. Niestety, na przeszkodzie w ich przeprowadzeniu stoi brak kredytów i trudności w uzgodnieniu z europejskim kolejnictwem.

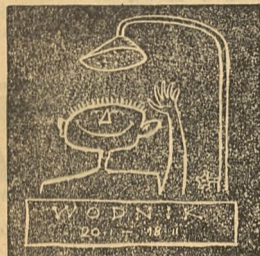
JEŚLI JESTEŚ SPOD ZNAKU PANNY...



URODZENIE POD ZNAKIEM BLIŹNIĄT
Cechy dodatnie: szybka orientacja, zdolności p-rskie lub matematyczne.
Cechy ujemne: lekkomyślność, dwulicowość, plotkarstwo, sromiane zapęły.



URODZENIE POD ZNAKIEM WAGI
Cechy dodatnie: zdolności artystyczne, skłonność do miłości i przyjaźni.
Cechy ujemne: łatwowierność, niepraktyczność, lekkomyślność.



URODZENIE POD ZNAKIEM WODNIKA
Cechy dodatnie: zdolności organizatorskie i kierownicze.
Cechy ujemne: skłonność do anarchii, buntów i mrzonek.



URODZENIE POD ZNAKIEM BARANA
Cechy dodatnie: energia, rządzi czy-
nu.
Cechy ujemne: impulsywność, niecierpliwość, pośpiech.

W okresie międzywojennym szpały naszej prasy rólę się od dość osobliwych dla dzisiejszego czytelnika ogłoszeń: „Czytam przyszłość z gwiazd, układam horoskopy, oznaczam szczęśliwe dni, podaję liczby na loterię. Jeśli chcesz nabyć wygrany los, znaleźć w życiu szczęście — nadesłaj w znaczku pocztowym 5 zł na adres prof. Pelegri- ni, skr. poczt. ect.”

Przeróżni naciągacze, maniujący się profesorami astrologii lub magami wiedzy tajemnej, pod frapującymi pseudonimami, reklamowali swe wątpliwe zdolności czytania przyszłości i zerwali na łatwowierności naiwnych. A zawdzię- czali wszystko faktowi, że starożytni as- tronomici podzieliли krąg niebieski tzw. Zodiak, po którym, zdaniem ich, słońce, księżyc i planety odbywają swo- ją drogę w ciągu roku, na 12 części, które nazwali poetycko: Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Skorpion, Strzelec, Koziorożec, Wodnik, Ryby i Wagi.

Astrologia — pseudonauka, która z u- łożenia planet w godzinie narodzin czło- wieka wiodła przepowiadać jego losy oraz cechy charakteru — świeciła nie- bywały triumf przez wieki od najdaw- niejszych czasów i zaprzętała umysły nawet ludzi uczonych, których nie moż- na było posadzić o próby szarlatanstwa czy oszustwa.

Francuskie pismo dla kobiet „Elle” prowadzi jeszcze dziś rubrykę: „Jeśli jesteś spod znaku... będziesz szczęśli- wy z...”. Gwoli uciechy naszych czyteln- ików i dla pożartowania sobie z bliźnich cytujemy:

Jeżeli jesteś urodzona pod zna- kiem „Panny” (23 sierpień — 22 wrzesień) masz usposobienie ner- wowe i niespokojne. Na pozór po- dejmujesz szybkie decyzje, lecz w rzeczywistości przed każdym dzia- łaniem ważysz wszystkie za i prze- ciw, tym samym często zmieniasz zdanie. Nie wierzysz porzywom swe- go serca. Twój zmysł analityczny przeszkadza uczuciom. Twoja wrażli- wość szuka głównie związków in- telektualnych. Jesteś „uczuciow- cem”, którego jednak hamuje roz- zum. Bacz, aby przez zbytnią po- wściągliwość nie czynić przykrości tym, którzy cię kochają. Otoczenie wierzy w ciebie, ale ty sama często w siebie powątpiewasz. Decydujesz się, aby po chwili żałować swej de- cyzji. Staraj się doprowadzać do

końca swoje zamierzenia, bo to da w efekcie przewyżczenie twojej nieśmiałości.

Uwaga, uwaga! A teraz najważniejsze: jak będą układać się losy niewiast uro- dzonych pod znakiem Panny z osobni- kiem płci odmiennie, który urodził się

POD ZNAKIEM „WAGI”
(23 wrzesień — 22 październik)

Może on doskonale rozumieć się z tobą, ponieważ twój zmysł ciekawości i krytycyzmu doskonale uzupełniają się z jego cechami. Jego umysł jest szczególnie przystępny na wpływy artystyczne. W ten spo- sób znajdziecie więcej momentów, które was zbliżą niż oddalą. Razem odnajdziecie to, co można uzyskać, aby uczynić życie piękniejszym.

POD ZNAKIEM „SKORPIONA”
(23 październik — 21 listopad)

Do czego może służyć twój zmysł logiki i analizy, twój kompleks (zresztą ukryty) niższości wobec a- gresywności „Skorpiona”? Co może umysł zrównoważony, jak twój wo- bec jego siły namiętności? Jesteś znakiem przyjaznym dla „Skorpio- na” i to wystarczy tobie, aby się do niego zbliżyć: razem będziecie sta- nowić parę zachwalców. W obopól- nym obcowaniu stracie swoje za- strzeżenia. Pluton, który kieruje



URODZENIE POD ZNAKIEM STRZELCA
Cechy dodatnie: zdolność naukowe, za- miłowania podróży, lojalność.
Cechy ujemne: pedanteria, brak wsze- lkiej uczuciowości.



URODZENIE POD ZNAKIEM RAKA
Cechy dodatnie: doskonały materiał na męża lub żonę, rozwaga, spokój, poświę- cenie.
Cechy ujemne: kapryśność trudności w decydowaniu.

„Skorpionem” jest z nim w tym momencie a przez szereg lat związa- ny znakiem „Panny” i to wzmocni przyciąganie się wzajemne.

„POD ZNAKIEM „STRZELCA”
(22 listopad — 22 grudzień)

Reprezentuje on poszukiwanie przyjaźni (lub miłości) trwałej. Będzie on dla ciebie czymś autory- tatywnym. Pod pozorami dobrego dziecka posiada bowiem nie tylko zmysł przewodzenia i dużej odpo- wiedzialności, lecz także wstręt do wszelkiej komplikacji i głębokie po- czucie wspólnoty, zgody i wzajem- nego pobożania. Jeżeli potrafisz nie być zbyt drobiazgową lub małostko- wą, okaże się on dla ciebie dosko- nałym towarzyszem. Lecz zimny Saturn, który omija w pewnym mo- mencie „Strzelca” mógłby bardzo przeszkodzić waszej zgodzie.

„Z CZŁOWIEKIEM SPOD ZNAKU „KOZIOROŻCA”
(23 grudzień — 19 styczeń)

Ma on na pewno poważny wygląd a więc to co ci się podoba. Je- steś jego ideałem a możliwie, że i on jest twoim. Lecz w dłuższym ży- ciu przy jego boku odczujesz utratę swojej osobowości. Uwaga! On jest znacznie silniejszy i cierpliwszy od ciebie. Jeżeli miłość waszą coś za- kłóci, musisz podejść do tego z wy- rozumiałością wynikającą ze znajo- mości świata. Zwróć uwagę na to, aby nie przesadzić w twoim komplek- sie niższości wobec niego; musisz ab- solutnie pozostać sobą, nie rezygno- wać z tego. To jest cena waszego szczęścia!

Zbyt dużo miejsca zajęłyby dalsze cy- towania. Do tych wszystkich, których interesuje wesoła zabawa przez nas za- inicjowana na łamach „Zdarzeń”, kle- rujemy nasz anons:

„Czytam przyszłość z gwiazd, u- kładamy horoskopy, oznaczamy szczęśliwe dni, podajemy liczby na „Lajkonika”. Jeśli chcesz nabyć wy- grany los, znaleźć w życiu szczęście, nie nadsyłaj w znaczku pocztow- ych 5 zł i nie pisz do nas.



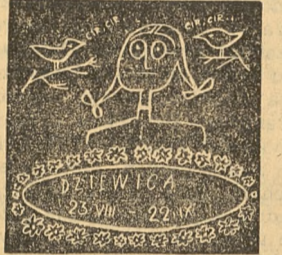
URODZENIE POD ZNAKIEM SKORPIONA
Cechy dodatnie: stanowczość, stałość w uczuciach, zdolności detektywistyczne.
Cechy ujemne: wyrafinowanie seksual- ne, mściwość, zadrność, skłonność do alkoholizmu.



URODZENIE POD ZNAKIEM RYBY
Cechy dodatnie: tolerancyjność, wy- rozumiałość, przezorność, łatwość przystosowania się do sytuacji.
Cechy ujemne: słabość charakteru, pesymizm, brak odwagi.



URODZENIE POD ZNAKIEM BYKA
Cechy dodatnie: dobry smak, talen- ty artystyczne, wierność, umiowanie pieniędzy.
Cechy ujemne: lenistwo, chciwość, bezwzględność, brutalność.



URODZENIE POD ZNAKIEM PANNY (DZIEWICY)
Cechy dodatnie: praktyczność, dużo zdrowego rozsądku, dokładność, cieka- wość.
Cechy ujemne: pedanteria, zgrzyli- wość, krytykanctwo.



URODZENIE POD ZNAKIEM KOZIOROŻCA
Cechy dodatnie: gospodarność, uzdol- nienia do pracy fizycznej (sport).
Cechy ujemne: skrytość, nieufość, żabobobność, pogon za pieniądzem.

Materiały do naszej rubryki czerpa- liśmy m. in. z książki pt. „Elemen- tarny kurs astrologii urodzeniowej”, Bydgoszcz: rok 1937. Pomyśleć tylko: tak jeszcze niedawno wydawano w Polsce takie bzdury.

OGONEK CZEK

(Dokończenie ze str. 4)
niamal rezygnowałem ze stania w kolejkach. Świadomość, że będę popychany, oszukiwany, okpiwany przez piaskomordych „szpeców” od kantu, że gdy upomnę się o porządek i zachowanie kolejności — zo- stanę obtuzony stekiem wyzwisk — odbierała mi ochotę stania. Dla- tego nie chodzę w galluksowym płasz- czu, dlatego w domu moim nie ma cytryn, dlatego żona moja uwa- ża mnie za niedojdę (w tych sprawa- ch).

Obrzydliwość postępowania ludz- kiego zdaje się nie mieć granic. Ale może to nieprawda? Może choćby częściowa nieprawda? Myślę, że można wychować ludzi, bo gdybym tak nie myślał — dzisiejszego felie- tonu nie byłoby wcale. Jakież mam przesłanki?

Oto w Warszawie, mieście przed paru laty znanym z tego, że do autobusu i tramwaju trzeba się by- ło ładować jak kto mógł, i „na chana” — dziś obywatele ustawia- ją się w grzeczne rządki i potem bez tłoku wsiadają do autobusu aż do wypełnienia. Ci, którym przysz- ło zostać — czekają bęż krzyku na następny.

Oto w Kombinacie im. Lenina w Nowej Hucie robotnicy Wielkich Pieców ustawiają się w długi szereg i tak jak w Warszawie pojedynczo wdrapują się do STARA, który ich podwozi pod bramę. Mało? Niewiele a cieszy. Sceptyk powie może: no, tak, oni się nie pchają bo tam w autobusie ani w STARZE nic nie można dostać. Ba, nie trzeba być takim zupełnym pesymistą. Trzeba ludziom zostawić jakiś okruszek wiary we własną uczciwość i zdol- ność do przemian...

Ale żeby felieton nie kończył się idyllicznie — bo to znowu byłoby mało pedagogiczne — muszę powie- dzieć jeszcze słowo o uczciwości z obu stron ład sklepowych. Otóż je- zeli oszuka nas ekspedientka — pod- nosimy hałas. Ale gdy na naszych oczach oszukuje ekspedientkę klien- tka — kolejka milczy.

Właśnie parę dni temu stałem w Delikatesach w kolejce po ser i jaj- ka. Przede mną brała 10 jaj i pół paczki masła kobieta w granatowym sztruksowym płaszczu. Przygotowa- ła na zakup 30 złotych. Ekspedient- ka, licząc szybko, powiedziała: pla- cić pani 18.60. Kobieta sztychciutko schowała do kieszeni 10 złotych i podała ekspedientce 20. Kolejka mi- lcząca przypatrywała się jak wydaje resztę z 20 złotych za 10 jaj i pół paczki wyborowego masła. Kiedy nie wytrzymałem i powiedziałem, że za- szła omyłka — kobieta spiorunowa- ła mnie złym okiem, parę kobiet nie powiedziało ani słowa, kilka wzru- szyło ramionami, dwie tylko bak- neły, że im też wydawało się, że ra- chunek jest za mały...

No cóż, proszę państwa. Te rze- czy także wchodzą w orbitę naszych „byczajów”. Uprzejmie proszę o wybaczenie i polecam się —

BOHDAN DROZDOWSKI

JAK GOSPODARUJEMY SWOIM CZASEM

(Dokończenie ze str. 1)

ANTONI KACZYŃSKI — lekarz reumatolog

Aby nie zapomnieć tego, czego się człowiek nauczył, trzeba stałe się dokształcać. Praca zawodowa, czas przeznaczony na literaturę fachową, to wszystko co nazywamy wykony- waniem zawodu zabiera do 10 go- dzin dziennie. A później? Każdą wolną chwilę od zajęć z przyjem- nością spędzam przy fortepianie. To jest mój wypoczynek, moja rozryw- ka. Czasami gram trochę więcej, czasami trochę mniej, ale przecięt- nie to wychodzi około godziny dzien- nie.

Pozwolił mi sobie szacunekowo ob- liczyć ile p. Kaczyński spędził doty- cześnie godzin przy instrumencie. Otrzymaliśmy ok. 670 dni, a więc niemal dwa lata nieprzerwanego grania.

IWONA BOROWICKA — artystka operetki

Od 10 lat gram na scenie. Nie mówiąc już o próbach i przedsta- wieniach można tutaj tylko wspomnieć o czesaniu się i charakterystacji przed wyjściem na scenę. Przecięt- nie zabiera mi to ponad godzinę przed przedstawieniem i drobne po- prawki w czasie przerw. Zebrało by się tego nie mało. A poza tym? Pra- ca w Radio, próby, wszystko to za- biera wiele czasu. Ten który pozos- taje przeznaczam na wypoczynek. Nie na zabawy, które są meczące, ale na prawdziwy wypoczynek.

ZDZISŁAW MAŁECKI — inż. mechanik

Trudno mówić o w pełni racjonal- nej gospodarce czasem, gdy w ciągu

swych godzin pracy muszę codzien- nie znaleźć 3—4 godziny na zajęcia dodatkowe, jak zorganizowanie wa- runków do pracy, wszystkie roboty przygotowawcze. Te godziny można śmiało wykreślić z efektywnych go- dzin pracy. A ponieważ one istnieją, nie więc dziwnego, że mój dzień pra- cy trwa bardzo długo, a na prawdziwy wypoczynek mogę sobie pozwolić tyl- ko w ciągu urlopu.

IZABELA NIWIRSKA

Prowadząc gospodarstwo domowe trudno jakoś ten czas zaplanować. Powiem jedno: wszystko to zabiera tyle godzin, że często brakuje wol- nych chwil, aby pójść do kina czy do teatru.

JERZY DOLLAR — pracownik Orbisu

Normalnie w sezonie czas pracy bardzo ściśle spleta się z czasem o- sobistym. Zawycząj w sobotę wyje- żdża się z wycieczką. Praca więc często połączona z przyjemnością. A teraz? Trochę lektury i pójście do kawiarni. Kilka godzin spędzonych w kawiarni jest i przyjemnością i odpoczynkiem.

JAN KRZYCZKOWSKI — rzeźbiarz

Nie wiem, czy można mówić o ra- cjonalnym gospodarowaniu czasem, gdy łączy się pracę twórczą z obo- wiązkami pedagogicznymi i twórczo- ścią zarobkową. Pracuję się rano, pracuje się wieczorem, czasami noc zastaje jeszcze człowieka nad pracą. A poza tym w sezonie jako kibic „Wisły” chodzę jeszcze na mecze, czas więc jest dosyć zapchany.

TADEUSZ SZYMAŃSKI — lekarz

Obok pracy zawodowej, która za- biera całe przedpołudnie i sporą część godzin popołudniowych od czasu do czasu brydż i słuchanie radia. Przez radio przede wszystkim słu- cham audycji sportowych i transmis- sji z meczów bokserskich i piłkar- skich. Tu już raczej statystykę moją trzeba oprzeć na statystykach pro- wadzonych przez Polskie Radio. A te na pewno są niemałe.

ROMUALD WOJNAROWSKI

Niedawno ukończyłem naukę i o- becnie pracując zawodowo robię pra- cę magisterską. To wszystko pochła- nia tyle czasu, że na razie nie można mówić o jakiejś organizacji własne- go czasu. W okresie studiów wygła- dała ona mniej więcej w ten sposób 40 proc. nauka, 20 proc. sport, 40 proc. rozrywki i inne zajęcia. Ale gdy 15 grudnia oddam pracę, będzie moż- na pomyśleć o jakimś racjonalnym planowaniu swojego czasu. Przede wszystkim chcę wygospodarować ty- le czasu aby móc trochę zwiedzić nasz kraj.

STANISŁAW WÓJCİK — oficer MO

Służbę mam tak rozłożoną, że po 12 godzinach pracy mam 24 godziny wolnego. Wydawać by się mogło, że czasu jest sporo. Ale nim dojedzie się do domu, mieszkam w Nowej Hucie, nim się wypocznie, coś nie- coś zrobi w domu wtedy tego czasu zostaje naprawdę nie dużo. Oczywi- ście, że wystarczy go jeszcze na lek- turę gazet, na pójście do kina, a w lecie to przede wszystkim na pracę na działce, od czasu do czasu pój- ście z wędką na ryby i to było by chyba wszystko.

Rozmawiał ZDZISŁAW WRÓBEL

Drodzy Czytelnicy prosimy Was o nadsyłanie wiadomości o tym, jak Wy gospodarujecie swoim czasem. Wasze wypowiedzi będą drukowane.

GENERALOWIE I KAPRALE

W czasie ubiegłej wojny oddziały armii kanadyjskiej wyróżniały się nie tylko wielką bojowością, ale i niezwykłym duchem koleżeństwa, które wyrażało się na przykład w tym, że oficerowie i żołnierze mówili sobie na ogół po imieniu.

Inwazja nowego stylu nie ominęła najbardziej ekskluzywnego klubu w Londynie — Portland Club. Pewnego wieczoru w sali brydżowej zjawiała się oryginalna para; Donald Farquharson, generał i Percival Sheardown, kapral. Jakby nie zdając sobie sprawy z wrażenia jakie zrobili, obaj wojskowi zasiedli do „partie fixe”. Kapral był niezwykle wymagający wobec swego partnera:

— Jak mogłeś tak zagrać? Wyjście w piki było przecież ewidentne. Do tego nie trzeba kończyć wyższej szkoły wojskowej!

A tu jak na złość, cały ciężar gry spoczywał na biednym generale, który swoją nie zawsze najlepszą grą dawał partnerowi nowe okazje do wnikliwych komentarzy. Generał był coraz mniej generalski, zawodową godność i dumę gdzieś zniknęły i coraz bardziej stawał się zwykłą „foką” brydżową, terroryzowaną przez lepszego partnera.

Wreszcie zdołał na chwilę odpasać — po krótkiej licytacji Sheardown zaliczył wielkiego szlama w kier i zaczął go rozgrywać. Jego sytuacja nie była do pozazdroszczenia:

- ♦ K942
- ♥ 4
- ♦ K852
- ♣ K642
- ♦ DW10
- ♥ 9
- ♦ DW109
- ♣ W9873
- ♦ 876
- ♥ 107652
- ♦ 764
- ♣ D10
- ♦ A53
- ♦ AKDW83
- ♦ A3
- ♦ A5

Po pierwszym wyjściu w ♦ D kapral zabił w ręce i dwukrotnie zagrał w kiery. Niestety przeciwnik po lewej dorzucił błotkę trefli i okazało się, że „E” ma aż pięć dziesiątek w at. Nasz kapral zapadł w kilkuminutową zadumę po czym oświadczył:

— Ten szlam jeszcze nie jest przegrany!

Zagrał asa ♦ i ♦, a następnie znowu zaatutował. „W” namyślając się sporą chwilę wyrzucił z ręki ♦ 10. Teraz Sheardown przeszedł na stół królem karo i odwrócił w ten kolor skrząc się w ręce (♦ 8 stała się „fortą”). Po następnym dojściu do stołu ♦ K zgrał tę „fortę”, a „E” przebił błotką atutową. Rozgrywając za-

bił ♥ 8 i zgrał ostatniego atuta. Teraz „W” znalazł się w eliminacji i szlam został wygrany *).

Kapral wyłożył tryumfalnie karty na stół, a generał odzyskał nagłą swą protekcyjną postawę, poklepał przyjaciela po łopacie i oświadczył z dyskretną dumą:

— Tak walczył moi żołnierze!

Po czym obaj skierowali się do baru. Ale to już inna historia...

*) Ramy mojego artykułu są zbyt szczerze abym mógł przeanalizować wszystkie możliwe warianty. Może Czytelnicy zastanowią się nad tym niesłychanie ciekawym rozdziałem. Zwracam uwagę, że przy poprawnej rozgrywce najlepsza nawet obrona nie może zakończyć się sukcesem.

Poczta „Zdarzeń”

W artykule — wywiadzie z prof. dr Szczeklikiem poruszono bardzo ogólnikowo temat odżywiania a to interesuje większość czytelników. Prof. Szczekliki mówi o ograniczeniu spożycia tłuszczów, jaj, mleka i sera. Również w broszurze popularnonaukowej dr A. Czyża pt. „Co to jest skleroza” (Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich) wiadomości na ten temat są bardzo skąpe. Podano tam, że należy unikać „żółtek jaj, nerek, mózgu, wątroby, szpiku kostnego, kawioru, śmietany, masła, tramu, fasoli, grochu, mączki sojowej, groszku zielonego, rabarbaru itp. jako pokarmów zawierających duże ilości cholesterolu. Ktoś mógłby z tego wnieść myślnie, że inne tłuszcze poza masłem nie tworzą w tętnicach zatorów cholesterolu. Broszura ta zaleca odżywianie się pokarmami mącznymi i cukrowymi (a więc węglowodanami) ale wymienia również jako wskazaną dietę mleczną, co stoi w sprzeczności z zaleceniami prof. dr Szczeklika. Na innym miejscu (bodaj w „Przekroju”) czytałem, że szkodliwe są również świeże pieczywo, wędlina, wędzone śledzie i ryby.

Z tych wiadomości można się domyśleć, że chude mięso, ryby i grzyby pomimo że są to pokarmy białkowe są dozwolone.

Jeszcze mała dygresja. W jedynej w Krakowie jadłodajni dietetycznej nie przewidziano diety wskazanej przy miąższycy, która większość starszych ludzi ma lub mieć będzie. Należałoby więcej miejsca poświęcić tym sprawom. Jako stały czytelnik „Zdarzeń” wyrażam podziękowanie redakcji za interesujący dobór artykułów.

St. Mig. Kraków, Żelazna 1/13
PS. Do spraw tych powrócimy jeszcze niejednokrotnie.

Prezenty, prezenty...

ANKIETA Z NAGRODĄ

Okres grudnia, to okres wzmózonych zakupów prezentów dla znajomych i najbliższych. Niemal każdy z nas w tym miesiącu coś kupuje, coś dostaje. To już należy do tradycji. Ale, czasami trudno jest dobrać właściwy prezent, czasami dostajemy coś z czym nie bardzo wiemy co zrobić. Po prostu prezent źle dobrany. Postanowiliśmy zwrócić się do szeregu mieszkańców Krakowa z pytaniem: komu zamierzam dać prezent i jaki? A ponieważ trudno mówić o prezentach niekonkretnie, Redakcja postanowiła jedną z odpowiedzi nagrodzić. Zobaczymy więc co pragną podarować nasi rozmówcy swoim najbliższym.

HELENA GABRYS — Mały Rynek 6
Uznaję prezenty tylko praktyczne. I dlatego zamierzam kupić dla rodziców takie przedmioty, jak bielizna, ciepłe skarpetki, rękawiczki.

HAJEWSKA (młodsza) — ul. Tarłowska 6
Najchętniej kupię rodzicom jakąś książkę. Na przykład jedną z powieści Krzeskiego lub Rodziewiczówny.

JANINA IGNASZEWSKA — ul. Mogińska 59
Prezenty przede wszystkim dla dzieci. Mam ich dwoje i oboje dostaną w tym roku łyżwy, no i elektryczne oświetlenie na choinkę.

MAREK JABŁOŃSKI — ul. Urzędnicza 48
Miłe, sympatycznej znajomej chcę kupić ładną chusteczkę na głowę, flakonik perfum i ewentualnie książkę.

ZYGMUNT KACZERA — ul. Kolberga 13
Uważam, że najlepszym prezentem jest książka. Chciałbym dla swojej sympatii kupić znaną powieść „Przemięło z wiatrem”.

ANTONI LABEGA — ul. Krowoderska 66 b
Wydaje mi się, że na prezenty i życzenia zasługują nie tylko najbliżsi, ale również ci, z którymi stykamy się na codzień. A więc krakowskiej służbie zdrowia kilku nowoczesnych pawilonów szpitalnych, a dr dyr. Brajerowi samochodu, aby mógł lepiej pracować.

MIECZYSLAW LABUZ — Olszańska 14
Przed wszystkim prezenty praktyczne. A więc dla córki, która ma 11 lat, coś

z ubioru i jakies odpowiednie dla niej książki.

ADRZEJ MACELOWICZ — ul. Szymanowskiego 4
Dla dobrego prezentu warto czasami nawet trochę pooszczędzać. Chciałbym dla żony kupić futro.

MAREK NACHT — ul. Kościuszki 58
Najchętniej bym kupił żonie futro z baranków strzyżonych, ale trzeba liczyć się z możliwościami finansowymi i dlatego sądzę, że z dobrej książki będzie również zadowolona.

STANISŁAWA OBAKIEWICZ — ul. Ludwika Solskiego 22
Chciałabym kupić jakiś prezent dla syna. A ponieważ marzy o łyżwach trzeba więc będzie mu je kupić.

AUGUSTYNA PACHONSKA — II Osiedle Oficerskie 10
A więc prezent dla męża. Jest amatorem kawy, więc kupię mu ją i do tego jakies dobre, importowane papierosy.

RABCZYŃSKA — ul. 29 Listopada 43 b
Prezent może być drobny, ale musi być praktyczny. A więc mężowi gustowny, elegancki krawat.

JAN SABELA — ul. Sebastiana 7
Marzę o prezencie dla żony, który by jej ułatwił pracę domową. Chciałabym kupić pralkę.

BARBARA SZABELSKA — ul. Grzegorzewska 104a
Braciśzkowi, który ma 8 lat, na Mikołaja diabła z różgą. Tylko, że różga ta nie może być symboliczna.

ADAM SCIBOR — ul. Retoryka 18
Ponieważ wnuczka jest już w tym wieku, że musi się orientować w czasie, chciałabym dla niej kupić zegarek na rękę.

FRYDERYK TADANIER — ul. Jaracza 2
Ponieważ żona grywa w „Lajkonika”, kupiłabym jej 100 kuponów i wypełniłabym. Może by coś wygrała?

MARIAN UJEJSKI — ul. Świerczewskiego 27
Chciałabym kupić jakies ładne, luksusowe wydanie Wyspiańskiego. Przenalizowałabym je dla kuzyna, który ostatnio zrobił pracę magisterską z zakresu prawa.

HENRYK WACHTEL — ul. Leliewieja 12
Kapitanowi Reymanowi z Polskiego Związku Piłki Nożnej najchętniej bym sprezentował komplet nowych graczy.

MICHAŁ ZABŁOCKI — ul. Śląska 7
Niedawno obchodziłem 10 rocznicę ślubu, więc kupiłem żonie pierścionek. Teraz z okazji Mikołaja najchętniej bym jej kupił diabła.

DANUTA ZAKI — ul. Krowoderska 48
Przed wszystkim prezent dla matki. Chciałabym kupić albo fotel-amerikanke, albo ładną narzutę na tapczan. Wszystko będzie zależało od ilości posiadanych pieniędzy.

Telefonicznie rozmawiał
ZDZISŁAW WRÓBEL

Za najodważniejszą odpowiedź Redakcja przeznaczona nagrodę p. Michałowi Zabłockiemu (neseser toaletowy).

Dowcip tygodnia



Rys. E. OLSZAK

ROZWIĄZANIE ZAGADKI „PODWÓJNEGO ALIBI”

Szef przeczytał raport dwukrotnie. Potem napisał na marginesie: „Aręsztować natychmiast Dennisona. Jest świetnym kłamcą, ale popełnił jedną pomyłkę. Jeśli siedzi na konkurs tańca, to nie mógł mieć na nogach obuwi na gumowych podszewkach”.

Nasz konkurs:

„ZABAWY DZIECI”

Wśród nadsyłanych na nasz popularny konkurs fotosów powtarzają się często sceny zabawy dzieci ze zwierzętami. Wybraliśmy spośród wielu trzy najbardziej typowe zdjęcia. — U dołu zdjęcie dziecka z małym prosiaczkiem nadesłał p. ZENON JĘDRZEJCZYK z Włocławka. Po prawej zdjęcie przedstawia zabawę dzieci z kotkami. Nadesłał je JACEK ALBRECHT z Krakowa.

Zdjęcie to uzyskuje w bieżącym numerze nagrodę. Wreszcie u dołu po prawej zdjęcie przedstawiające dziecko z baranem nadesłał p. JACEK PULCHNY z Krakowa.

Przypominamy: konkurs nasz trwa. Zdjęcia nie wykorzystane zwracamy pocztą. Prosimy naszych Czytelników o cierpliwość, jeśli zdjęcie nie jest natychmiast reprodukowane.



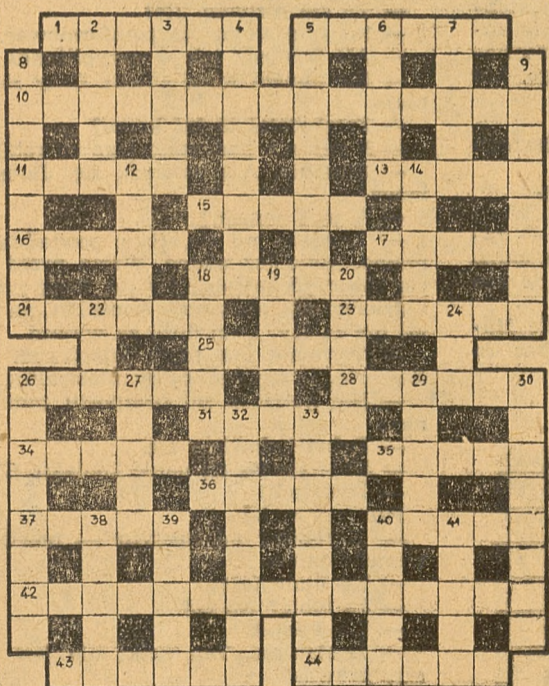
Nadesłał Zenon Jędrzejczyk, Włocławek



Nadesłał Jacek Albrecht Kraków



Nadesłał Jacek Pulchny Kraków



KRZYŹNOWNIK

POZIOMO: 1. Osobliwość, rzadkość, 5. Odsiecz, pomoc, 10. Dziedzina wiedzy o przekazywaniu na odległość dźwięków i obrazów, 11. Autor słynnej książki „Waverley czyli sześćdziesiąt lat temu”, 13. Jednostka angielskiej miary długości, równa 0,2 km, 15. Tytuł filmu polskiego, 16. Zimowy sprzęt sportowy, 17. Utwór A. Mickiewicza, 18. Artysta sceniczny, 21. Węgierski kompozytor, twórca świętych operetek, 23. Wychodzący w Krakowie periodyk poświęcony astronomii, 25. Autor „Komorników”, 26. Dawna rosyjska miara długości, równa 71 cm, 28. Elegancki, 31. Część nogi, 34. Batyst laniany, 35. Wybitny amerykański pisarz i humorysta (1835 — 1910), 36. Figiel, 37. Angielska miara objętości ciał ciekłych i sypkich, równa 4 kwartom, 40. Pierwiastek chemiczny, 42. Współczesna burząca doktryna ukazująca bezsens życia, krzycząca niewiarę w postęp, stojąca na gruncie indeterminizmu, 43. Tytuł książek panujących w

Hiszpanii i Portugalii, 44. Półwysep w Ameryce.
PIONOWO: 2. Półkownik włoski, który brał udział w powstaniu styczniowym, 3. Kończyna po amputacji, 4. Topór bojowy u Indian północno-amerykańskich, 5. Stolica Chile, 6. Owoce południowy, 7. Słusznosc, 8. Może być człowieka do człowieka, 9. Główna bohaterka filmu „Irena do domu”, 12. Wspólnoty rodowe oddawały mu cześć religijną, 14. Schody lub drabina za kulisami teatru, 18. Ogłoszenie, 19. Stolica państwa azjatyckiego, 20. Etap walki w sporcie, 22. Oficjalna angielska agencja prasowa, 24. Przyimek, 26. Reżyser filmu „Odrodzeni”, 27. Droższe od srebra, 29. Aktor kreujący rolę Szczęsnego w „Celulozie”, 30. Wyrazy różne w dźwięku, lecz bardzo podobne i bliskie znaczeniem, 32. Stolica republiki radzieckiej, 33. Możliwość, zdolność, siła, potęga, 38. Wyspa w Azji, 39. Gatunek kawy, 40. Imię żeńskie, 41. Podstęp, wybieg, sztuczka.

NOWINY ze ŚWIATA

przywiózł L. Maruta

Jak donoszą z Timbaktu, rząd libijski zarządził wymianę wielbłądów dwugarbnych, kursujących dotąd po Saharze, na jednogarbne. Krok ten podyktowany został względami ekonomicznymi.

Na powyższej wymianie państwo zaoszczędzi ok. 25.000 garbów.

Z podróży dokoła świata powrócił niedawno znany brytyjski podróżnik kpt. Blackberry. Zapytany o wrażenia z podróży, odparł: Eee, nic ciekawego... Wszędzie bida!

Koncentracja wojsk tureckich na Bliskim Wschodzie postępuje powoli lecz systematycznie. Skoncentrowano już generałów, obecnie koncentruje się pułkowników, majorów i kapitanów.

Gen. Kizlar Aga, szef sztabu, zapytany o termin mobilizacji szeregowców, odparł: „Nic nie wiem. Wszystko w rękę Allaha”.

W Puerto Magico, stolicy Patagonii, odbyła się wielka defilada wojskowa. W czasie parady zdemonstrowano po raz pierwszy publicznie nowe typy broni. Wielkie zainteresowanie wzbudził m. in. oddział kawalerzystów, jadących tyłem na koniach.

W Sztokholmie utworzony został Związek Laureatów Nobla. Do związku może należeć każdy młody człowiek powyżej lat 18-tu, niekarany sądownie.

Gregor O'Rugby, pastor anglikański, przełożył ostatnio Pismo Święte z angielskiego na łacinę.

Zapytany przez biskupa, dlaczego to uczynił, bowiem tekst angielski jest właśnie tłumaczeniem z oryginału łacińskiego, ojciec O'Rugby oświadczył: „Sorry, nic o tym nie wiedziałem!”

O to list Polaka, zamieszczony na łamach „Timesa”:

Sir!
Z ubolewaniem stwierdzam, że dziennik Pański redagowany jest w języku dla mnie niezrozumiałym. W związku z tym proszę o wydanie go po polsku i o zmianę tytułu na „Express Wieczorny”.

Yours sincerely
Stanley L. Mucha

Wskoczi-znów pojawił się wąż morski. Wąż ten podróżuje po całym kraju wynajętym pociągiem. Można go oglądać za opłatą.

Właścicielem węża jest niejaki Wiśniewski, emigrant.

Nowego Jorku zawinął statek wielorybiczny „Santa Maria”, którego kapitan podaje się za Krzysztofa Kolumba.

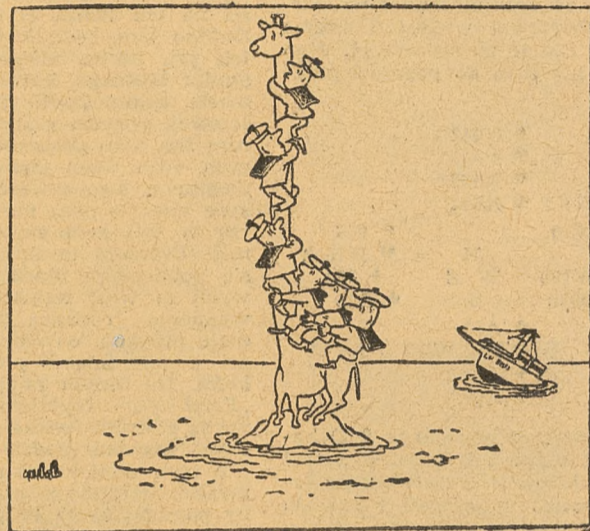
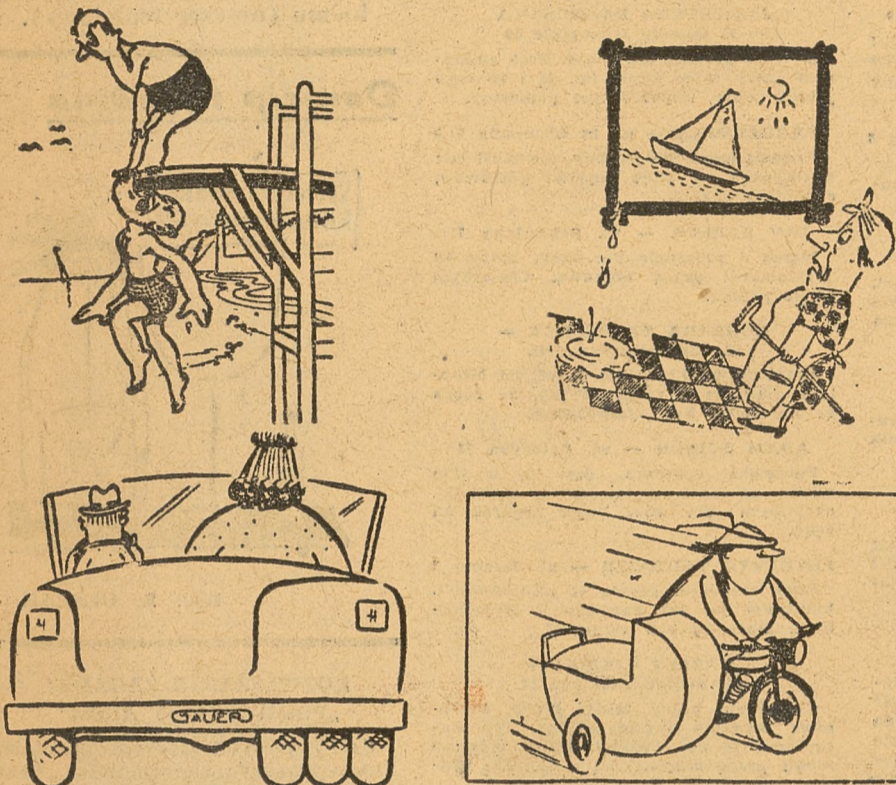
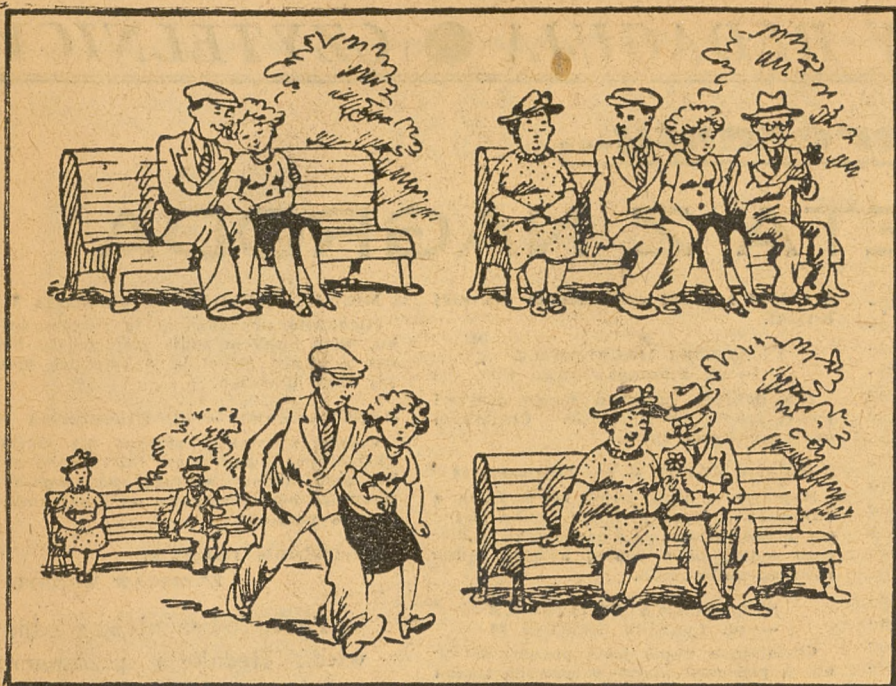
Przybyła na pokład straż celna kapitan statku zmusił do przyjęcia chrztu św., a następnie obdarował strażników Świecidełkami.

W Mozambiku władze portugalskie aresztowały niejakiego Maślińskiego. W czasie śledztwa podał on, że stałym miejscem jego zamieszkania jest Kraków, ul. Floriańska 8.

Byłem tam wczoraj osobiście. Zadnego Maślińskiego pod 8-mym nie znalazłem!

H
U
M
O

HUMOR



TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(25)

— Tak zrozumiałem. Zalił się, że dawniej go chętnie widywałeś, a teraz go unikasz.
— Bo nudny. — Mazurkiewicz wzruszył ramionami. — Nie lubię nudnych ludzi. Na świecie nudno a ty gadaj z nudziarzami...
— Mówił rzeczy interesujące.
— Słyszałeś go po raz pierwszy, dlatego.
Faleszny pochylił się w kierunku Mazurkiewicza i zniżył głos.
— Mnie to nic nie obchodzi. Ja chcę mieć spokój, to mi wystarczy, ale ty uważaj. On jest niebezpieczny.
— Zartujesz? Ten bigot?
— Może ci zaszkodzić. Lepiej spotkaj się z nim i ukróć mu język.
— A cóż ci takiego powiedział?
— Wiesz, mnie jednym uchem wchodzi a drugim zaraz wychodzi. W każdym razie ostrzegam cię.
— Widocznie rzuciło mu się ostatnio na mózg. Pewnie ma zamiar mnie sypnąć za kilka interesów, które zrobiliśmy kosztem Niemców. Zwarował!
— Nie bardzo. Wywieka jeszcze jakieś inne historie.
— Powiedz co. Muszę przecież wiedzieć! Do niczego innego się nie poczuwam i niech mnie pocałuje gdzieś.
— Ja już zapomniałem. Mówił niejasno.
— Pogadam z nim albo mu tak morde skuje, że popamięta ruski miesiąc. Córka mu choruje. Akurat! Pewnie zobaczył gdzieś jakiś zegar i zamierza go kupić. To wariat na

punkcie zegarów. Potrafi okraść rodzinę byleby kupić co mu się spodoba.
— To twój krewny?
— Podobno. Przyznaje się przynajmniej do tego.
— Gratuluję ci w takim razie ładnego krewniaka.
— Ech! — Mazurkiewicz machnął ręką. — Życ się nie chce.
— Widzę żeś jakiś taki sponiewierany.
— Słuchaj, możebyś kupił willę w Zakopanem? Okazja!
— Przerzuciłeś się teraz na pośrednictwo.
— Cholere. Prosił mnie jeden żebym się pytał wśród znajomych. Ma niezły obiekt do opylenia. Nawet niedrogo.
— Kto by w tych czasach kupował domy. Żeby upaństwowili?
— Przeciwnie. Mają właśnie zwracać pensjonaty w Zakopanem. Państwo nie ma zamiaru więcej dokładać do tego interesu.
— Już idę wierzyć.
— Słowo daję. To pewne. Lada dzień wszystko tam podskoczy w dwójnasób. Warto uprzedzić, by później sprzedać z zyskiem.
— Nie wierzę. Ja w nic nie wierzę.
— Gdybym miał trochę grosza, sam bym kupił.
— Pożycz sobie.

— A skąd oddam?
— Jak sprzedasz z zyskiem.
— Na taki okres nikt nie pożyczyc.
— Zagraj w pokera — Faleszny wskazał ręką na sąsiedni pokój. — Przedwczoraj jeden zgarnął dwieście tysięcy.
— On to wziął jednorazowo a ty stale przecież bierzesz procent.
— Mam wydatki. Wiesz ile to kosztuje? To tylko tak ładnie wygląda. Żeby nie wpaść trzeba płacić — Faleszny wyciągnął rękę i klepnął Mazurkiewicza w kolano. — Nie, nie kupię willi w Zakopanem. Gdybyś mi zaofiarował willę w Nicei i paszport do tego, kto wie? Może bym się dał skusić.
— Gotówka otwiera granice.
— Masz możliwości? — głos Falesznego zdradzał zainteresowanie tematem.
Mazurkiewicz zrobił zagadkową minę.
— Coś by się może dało zrobić.
— O tym moglibyśmy porozmawiać — zaśmiał się Faleszny — willa to nie dla mnie. Strasznie lubię wycieczki. Słyszałem, że kto ma znajomości w „Orbisie”...
— Co tam „Orbis”? — rzekł wyniośle Mazurkiewicz. — Chyba, że chcesz jechać do Rosji?
— Tam mnie jeszcze nie widzieli.
— Więc co „Orbis”?

— Marzyłem zawsze o Francji!
— Piękny kraj. Ale Włochy ładniejsze. Neapol, Wenecja — Mazurkiewicz cmoknął z zachwytem. — Nie widziałem czegoś piękniejszego.
— A dałoby się tam zarobić?
— Kto ma głowę wszędzie zarobi. Kto ma głowę i forszę.
— Znalazłoby się parę groszy.
— Wyjazd też musi kosztować.
— To się rozumie. Ile?
— No, musiałbym się poinformować.
— Ale powiedz tak w przybliżeniu.
— Nie umiem w tej chwili. Ceny się zmieniają.
— Załatwiłeś to już komu?
— Nigdy nie pamiętam tego co robiłem.
— Ślusznie. Ale dowiedz się. Jestem ciekawy.
— A co z domem?
— Znudziło mi się. Sam powiedziałeś, że nudno. Mnie też nudno. Warto przed śmiercią zobaczyć kawałek świata. Zony nie mam, z dziećmi nie utrzymuję kontaktu, na niczym mi nie zależy. Dam dużo za wyjazd.
— To mało nie może kosztować. Domyślasz się, że wyjazd byłby nielegalny.
— Nie potrzeba mi paszportu ministerialnego.
— Dobrze, dowiem się.
— Może chcesz się napić koniaku. Stawiam.
— Kieliszek!
Faleszny wstał.
— Narobiłeś mi apetytu — powiedział z westchnieniem.
— Ty mnie też?
— Ja tobie? Na co?
— Na koniak.
— Dostaniesz. Ten ruski nie jest najgorszy, prawda?
— Zupełnie dobry.
Faleszny poszedł po koniak do kuchni. Mazurkiewicz stał w drzwiach pokoju. Przed inżynierem leżała sterta banknotów. Odetchnął z ulgą. Inżynier mrugnął do niego porozumiewawczo i położył rękę na pieniądzach.
— Jest pan uratowany — powiedział — karta się odwróciła.
Jego partnerzy spojrzeli na Mazurkiewicza nic nie rozumiejąc. Mazurkiewicz wytarł czoło chustką. Kieliszek koniakowi, podany przez Falesznego wypił jednym łykiem. Faleszny nalał sobie i powiedział.
— Pod piękny świat!

